GAZETA LITERACKA

DODATEK MIESIĘCZNY GAZETY NIEDZIELNEJ

NR 5 LONDYN, 24—31 GRUDNIA 1950 ROK I

JAN TOKARSKI

# EPIFANIA I MĘDRCY

MY, Polacy, mamy wielce osobliwy stosunek do świąt. Jeśli nie teoretycznie, to praktycznie, poza świętami Maryjnymi i Bożym Ciałem, uznajemy tylko... wigilię Bożego Narodzenia. Samo Boże Narodzenie i dzień św. Stefana (Szczepana) uważamy jakby za dodatek do wigilii. Pamiątka największego faktu z historycznego życia Zbawiciela, „Wielkanoc", istnieje dla nas głównie jako zespół tradycyjnych zwyczajów i obyczajów, a nie jako religijne przeżycie i wmysliwanie się w naczelną Tajemnicę chrześcijaństwa, Odkupienie, uwieńczone triumfem Zmartwychwstania. W Polsce daleko żywiej obchodzony był poniedziałek wielkanocny z powodu „śmigusu" czy „dyngusu", niż niedziela, w której „śmierć i życie zderzyły się w przedziwnym pojedynku: umarły wódz życia — króluje żywy". Nie bardzo też wiedzieliśmy co zrobić z pamiątką Zesłania Ducha świętego — poza majeniem domów zielonym łabuziem i posypywaniem obejścia tatarakiem. Uleciało nam również z chrześcijańskiego przeżycia szczytowe święto okresu bożonarodzeniowego, największe obok Wielkanocy święto w ogóle: Epifania, zwana u nas „Trzema Królami".

Znaczenie największego obok Paschy święta zachowała Epifania dotąd w Kościele Wschodnim. Uroczystość ta—jak sam Chrystus, jak Jego religia, jak Pismo święte, jak liturgia, jak początki wszelkiej myśli teologicznej i filozoficznej, jak wszystkie wielkie święta chrześcijaństwa — przyszła do nas ze Wschodu. Jedynie tylko Boże Narodzenie poszło z Zachodu, z Rzymu, na Wschód. Z jak wielką radością przyjął je Kościół Wschodni świadczy zachowane, a jak dotąd pierwsze w ogóle znane, kazanie bożonarodzeniowe, wygłoszone w roku 386 przez św. Jana Chryzostoma.

W sensie historycznej pewności nie znamy żadnej podstawowej daty z życia Zbawiciela. Nie tylko nie wiemy jakiego dnia ale i w jakiej porze roku i którego roku się urodził, czy była to jesień czy wiosna, lato czy zima. Nie wiemy ile lat żył, którego roku zaczął swą działalność publiczną, jak długo ona trwała, nie wiemy też którego dnia i którego roku Jezus został ukrzyżowany. Wiemy natomiast, że obliczenia, dokonane w VI wieku przez mnicha Dionizego Małego, a dotyczące ustalenia daty urodzin Jezusa zawierają pomyłkę około 6 lat. Około 6 lat „za późno" liczona jest era chrześcijańska i chcąc być pedantycznie dokładnym. należało by pisać, że Jezus urodził się około 6 lat „przed narodzeniem Chrystusa", a więc 6 lat przed rokiem, od którego zaczęto liczyć naszą erę.

Jeśli więc Kościół rzymski, nie wdając się w żadne obliczenia, przyjął jako datę 25.XII i od tej daty ustalił inne święta, np. Obrzezania (co musiało nastąpić ósmego dnia od porodzenia, tj. 1 stycznia), czy Oczyszczenia N. M. Panny (które u Żydów następowało, po urodzeniu potomka płci męskiej, czterdziestego dnia), tj. 2 lutego, daty te mają wartość względną. Nie daty bowiem są przedmiotem czci, lecz fakty i tajemnice, które przypominają. Wybrawszy datę 25 grudnia Kościół kierował się chęcią przytłumienia pogańskiego święta, przypadającego w Rzymie w tym właśnie dniu i skierowania myśli ludzkiej ku przedziwnej tajemnicy Wcielenia, dzięki której Bóg objawił się człowiekowi w postaci Dziecka ludzkiego, aby człowiek stał się dzieckiem Bożym. I ta myśl, głęboka i serdeczna zarazem, płynąca z Tajemnicy Wcielenia, najbardziej zachwyciła konkretną myśl człowieka zachodniego, gdy Wschód zatopił się przede wszystkim w rozpamiętywaniu otchłani mocy i chwały Boga. Na Wschodzie Bóg transcedentny, Władca i Pan, nieśmiertelny, niezgłębiony i niepojęty Król wieków; na Zachodzie — Emanuel: Bóg z nami.Na Wschodzie przede wszystkim Absolut, na Zachodzie — „Absolut jawiący się w kształcie jednostkowych i przypadłościowym. Niezmienny, chodzący po drogach... i Bóg, potrącany przez ludzi — oto całe Wcielenie. I „Verbum caro factum", Słowo, które stało się Ciałem, nie znaczy nic innego". (O. Charles, La robe sans couture).

Boże Narodzenie jest świętem jakby wewnętrznym, domowym, rodzinnym ludów j u ż chrześcijańskich. Przypomina radosny fakt historycznego przyjścia Zbawiciela, wyzwala tkliwe i serdeczne wzruszenia w obliczu Matki, trzymającej w ramionach dziecko, które równocześnie jest Jej i naszym Bogiem. „Matko, córko swego Syna", modli się do tego obrazu Dante. Epifania natomiast jest świętem misji Chrystusa i Kościoła dla całego świata, jest jego Objawieniem „na upadek i powstanie wielu". Epifania znaczy właśnie Objawienie (z greckiego: epifaneia). „Boże, któryś w dniu dzisiejszym za przewodnictwem gwiazdy Jednorodzonego Swego narodom o b j a w i ł", modlimy się w kolekcie Mszy św. Lecz gdy mszał skupia naszą uwagę głównie na fakcie przybycia Mędrców ze Wschodu, którzy przyszli pokłonić się nowonarodzonemu królowi żydowskiemu, brewiarz mówi nam o pełnym, potrójnym sensie uroczystości. Oto antyfona do Magnificat z nieszporów na dzień 6 stycznia: „Potrójny cud święcimy w dniu dzisiejszym: dziś gwiazda przywiodła królów do żłóbka; dziś woda w wino przemieniła się na godach; dziś Chrystus chciał być ochrzczony przez Jana, aby nas zbawić. Alleluja".

Jest to więc uroczystość adoracji magów, którzy wyobrażają nam objawienie się Zbawiciela poganom: wybrańStwo odchodzi już od Żydów, a ludem wybranym, poprzez Kościół, stają się wszystkie ludy, przyjmujące Chrystusa; uroczystość pierwszego cudu w Kanie galilejskiej, objawiająca misję Jezusa tym znakiem Jego mocy; i uroczystość chrztu w Jordanie, w czasie której Duch Święty zstępuje na Chrystusa, a głos Ojca objawia światu jego Zbawcę: Ten ci jest Syn mój miły, w którym Sobie upodobałem, Jego słuchajcie!

Gdy w Boże Narodzenie Bóg zjawia się jako Człowiek, Epifania objawia światu tego Człowieka jako Boga. „Cieszcie się w Panu, moi najdrożsi —wykrzykuje św. Leon Wielki w homilii — raz jeszcze mówię wam: cieszcie się! Albowiem wkrótce po uroczystości narodzenia Chrystusa, lśni przed oczyma naszymi święto Jego Objawienia. Tego, który w Boże Narodzenie narodził się z Dziewicy, dziś uznał świat".

Kościół Wschodni kieruje myśl swoich wiernych tego dnia przede wszystkim ku obrazowi chrztu w Jordanie. Kościół Zachodni zaś — ku adoracji magów, ku hołdowi, pokłonowi Mędrców.

„Wielka to zaiste tajemnica! — W żłóbku Zbawiciel leżał, a mędrców ku sobie wołał. Ukrywał się w stajni, a dawał o sobie znaki na niebie, aby poznany na niebie, tym łatwiej objawił się w stajni i aby ten dzień Objawieniem był nazwany" — rozmyśla św. Augustyn.

Kimże byli ci ludzie, którzy po pasterzach złożyli hołd na „dworze" ubożuchnego króla i którzy tak silnie od najdawniejszych wieków pociągali wyobraźnię zarówno prostych wiernych, jak Ojców Kościoła, malarzy, rzeźbiarzy, pisarzy i poetów?

Przedstawiamy ich sobie u żłóbka, choć wiemy z Ewangelii, że Rodzina Św. już wtedy — a mogło to być od półtora miesiąca do dwu lat po urodzeniu Jezusa — w grocie nie mieszkała. „I wszedłszy w d o m, znaleźli Dziecię z Marią, Matką Jego" — pisze św. Mateusz. Nazywamy ich „królami" i mówimy, że było ich trzech, a nawet czcimy relikwie „Trzech Króli" w Kolonii (dokąd zostały przewiezione z Mediolanu), chociaż Ewangelista nazywa ich magami, Mędrcami i nie wspomina, ilu ich zjawiło się w Betlejem, ani też skąd pochodzili, poza bardzo ogólnym oznaczeniem, że przyszli „ze Wschodu".

Na kilkunastu freskach w katakumbach rzymskich, z których jeden ma pochodzić z II wieku, przedstawia się ich zawsze w ubiorach wschodnich, perskich. Bardzo dawna tradycja, a także owe pseudo-ewangelie, zwane apokryfami, z których pochodzą różne piękne i gorszące legendy o ewangelicznych postaciach, mówią, że było ich trzech; i apokryfy też podają ich rzekome imiona: Gaspar, Melchior i Baldassar (Baltazar) oraz wiadomość, że byli rzekomo królami lub synami królewskimi.

(Dokończenie na str. 6-ej)



Rys. Zygmunt Turkiewicz

WIT TARNAWSKI

# GRAHAM GREENE

NAZWISKO Grahama Greene'a znane jest dziś na całym świecie. Powieść jego pt. „Sedno rzeczy" była „bestsellerem" w Anglii w r. 1948, a film nakręcony według scenariusza pisarza pt. „Trzeci człowiek" uznany został za najlepszy w r. 1949. Przekład „Sedna sprawy" ukazał się w Polsce (gdzie drukowano już inną powieść Greene'a „Tajny agent"), a we wszystkich niemal językach europejskich pojawiają się tłumaczenia dzieł tego autora.

Jedno musi zwrócić uwagę w zjawisku niezwykłej popularności Greene'a. Jest on jednym z bardzo nielicznych pisarzy sięgających do tematyki trudnej i głębokiej, którzy mimo to potrafią zainteresować i są czytani przez szeroką publiczność. Tę swoją przystępność zawdzięcza Greene mistrzowskiemu opanowaniu techniki powieściowej i filmowej, nabytemu przez pisywanie powieści sensacyjnych. Technikę tę potrafił Greene przenieść do swych powieści problemowych, które są także sensacyjnymi w najlepszym tego słowa znaczeniu.

Sam Greene dzieli swą twórczość na utwory lekkie, tzw. „entertainments" („Pociąg do Stambułu", „Broń na sprzedaż", „Ministerstwo trwogi", „Trzeci człowiek") i powieści poważne („Człowiek w nas", „Pole bitwy", „Anglia mnie stworzyła", „Skała w Brighton", „Potęga i chwała", „Sedno sprawy"). Pozatem Greene ma w swym dorobku dwie książki podróżnicze („Podróż bez mapy" i „Drogi bezprawia") oraz zbiór nowel pt. „Dziewiętnaście opowiadań".

Warto podkreślić, że Greene jest równie wybitnym powieściopisarzem, jak autorem filmowych scenariuszy. Szereg jego powieści sfilmowano przy osobistej współpracy autora („The Man Within", „Stambul Train", „The Ministry of Fear", „Brighton Rock", „The Power and the Glory", „The Fallen Idol" i „Third Man").

Greene jest pisarzem stosunkowo młodym — urodził się w roku 1904. Pierwsza jego powieść wydana została w r. 1929; z dotychczasowej twórczości należy wnioskować, że pisarz ten ma przed sobą długą i obiecującą drogę rozwoju, a nawet może dostarczyć czytelnikom nie jednej niespodzianki. Wiadomo powszechnie, że Greene jest czołowym pisarzem katolickim Anglii, ale nie wszyscy wiedzą, iż katolicyzm jego jest świeżej daty, gdyż Greene nawrócił się z protestantyzmu już po ukończeniu studiów. Krytycy angielscy dostrzegają w jego twórczości — i słusznie — wyraźne ślady purytańskiego światopoglądu religijnego. Właśnie ten nierozstrzygnięty jeszcze spór pomiędzy młodym katolicyzmem a resztkami purytanizmu pisarza może być źródłem niespodziewanych faz jego rozwoju.

Katolicyzm Grahama Greene'a nie jest łatwy i prosty. O „Sednie rzeczy" kolega Greene'a po piórze i drugi z kolei najsławniejszy pisarz katolicki Anglii — Evelyn Waugh wyraził się, że powieść ta ma posmak herezji. Nie będziemy szli tak daleko, ale musimy przyznać, że wielka odwaga i samodzielność myślenia religijnego cechują Greene'a. Trzeba jednak pamiętać, że zarzuty zbliżania się do herezji stawiano wielokrotnie innym najwybitniejszym pisarzom katolickim, jak Mauriac i Bernanos. Jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, że pisarz, którego naprawdę pasjonują zagadnienia religijne, musi nieraz docierać do punktów, gdzie prawowierność katolicka graniczy z ryzykownym napozór poszukiwaniem i odwagą stawiania problemów. Każdy z tych wielkich pisarzy był atakowany, bo wnosił nowe elementy i poddawał stare zagadnienia nowym, niepokojącym próbom. Dlatego słusznie uważa się tych twórców za odnowicieli powieści i myśli katolickiej.

Trudno w krótkim artykule omawiać szczegółowo ciekawą i bogatą problematykę wszystkich utworów Greene'a. Ograniczymy się do zwięzłego przedstawienia treści i ideologii dwóch jego najwybitniejszych powieści.

W „Potędze i chwale", wydanej w r. 1940, Graham Greene opisuje życie księdza katolickiego w okresie prześladowań religijnych w Meksyku. Ksiądz ten, zdawałoby się prostaczek i słaby człowiek, jest jedynym kapłanem, który ostał się w obliczu tym prześladowaniem stanie meksykańskim, by pełnić swój obowiązek kapłański aż po męczeńską śmierć. Oryginalność i siła ujęcia tej postaci w powieści Greene'a polega na tym, że nie jest to bynajmniej ksiądz wzorowy, lecz zwykły człowiek, skłonny do upadku, trwożliwy i szukający ukojenia w alkoholu. A jednak tkwi w nim jakaś siła i wierność powołaniu, która każe mu dobrowolnie wrócić z bezpiecznego ukrycia na pewną śmierć, aby wyspowiadać i rozgrzeszyć jednego z powierzonych mu grzeszników. Powieść Greene'a ukazuje ze wstrząsającą siłą, że kruche i potrzaskane naczynie często zawiera więcej wartości ludzkich i metafizycznych, aniżeli takie, w którym z pozoru nie widzi się żadnej skazy.

„Sedno rzeczy" odwraca problem: Greene pokazuje tu człowieka według miary ludzkiej naprawdę doskonałego. Bohater tej powieści, inspektor policji w afrykańskiej kolonii brytyjskiej, jest przykładem obowiązkowości i poczucia odpowiedzialności, jest chrześcijaninem wyzbytym prawie z egoizmu, współczującym wszystkim swym bliźnim. A jednak te zalety doprowadzają go stopniowo do pokłócenia z ludźmi i nawet z Bogiem, a wreszcie do samobójczej śmierci. Autor sięga tu do zagadnienia zasadniczej niedoskonałości człowieka, który o własnych siłach nie może znaleźć drogi właściwej i nawet przy największych osobistych zaletach skazany jest na błądzenie po bezdrożach.

Siła prozy Grahama Greene'a leży w jego artystycznym realizmie. Czy pisze o zbrodniarzu ściganym przez policję, czy też przedstawia przygodę metafizyczną duszy chrześcijańskiej — zawsze wizja jego, ubrana w słowa proste, w obrazy plastyczne i zapadające na zawsze w pamięć czytelnika — jest przekonywująca i potężna. Słowo użyte przez niego odzyskuje świeżość i celność a kompozycja jego utworów, zdumiewająco prosta i logiczna, zachwyca swą zwartością. Analiza literacka takiej np. powieść jak „Sedno sprawy" wykazuje, że każda scena, każdy najdrobniejszy szczegół jest zbudowany jak katedra gotycka. Wszystkie cegiełki są niezbędne.

Próżno by szukać źródeł tej doskonałości artystycznej autora „Trzeciego człowieka" w dziedzictwie literatury anglosaskiej. Prostota, logika i klarowność stylu Grahama Greene'a mówią o jego europejskości. Jest to pisarz nawskroś europejski, kontynentalny, bliski krewny duchowy Flauberta, Mauriaca i Camusa. Nie jest przypadkiem, że Greene często wyjeżdża do Francji, a przy okazji jednego ze zjazdów literackich w Paryżu wygłosił mowę na cześć François Mauriaca, którego zresztą przewyższa pod wieloma względami.

Charakterystyka Greene'a byłaby niepełna, gdybym nie wspomniał o jego wszechstronności. Najdobitniej ujawnia się ona w twórczości filmowej pisarza. Wydaje się, że Greene równie dobrze opanował sztukę pisania scenariuszy, jak kunszt literacki. Filmy jego — to nie sfilmowane powieści. Są to dzieła sztuki odrębnej, samodzielnej — plastycznej zarazem i słuchowej.

Greene dokładnie zdaje sobie sprawę z odmienności sposobów wyrazu filmu i prozy, co jest rzeczą niezmiernie rzadką zarówno wśród filmowców jak pisarzy. Dlatego właśnie powieściowa wersja „Trzeciego człowieka" znacznie odbiega od scenariusza filmu o tym samym tytule: pisząc tę literacką przeróbkę, autor w pełni był świadom faktu, że co innego można i należy powiedzieć słowem drukowa-

**(Dokończenie na str. 7-ej)**

# KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „VERITAS"

W POROZUMIENIU Z POLSKĄ MISJĄ KATOLICKĄ W ANGLII I WALII, pragnąc przyjść z pomocą wolnej twórczości polskiej na obczyźnie, ogłasza ufundowanie dorocznych

## NAGRÓD LITERACKICH

dla pisarzy, których twórczość zgodna jest z zasadami wiary i obyczajów katolickich

na łączną sumę 200 funtów.

Nagrody są niepodzielne i przyznane będą za następujące rodzaje twórczości:

NAGRODA LITERACKA ZA OGÓLNĄ DZIAŁALNOŚĆ PISARSKĄ

w kwocie funtów 50.

Nagroda ta przewidziana jest dla wybitnego pisarza polskiego, przebywającego poza granicami Kraju — za działalność literacką przedwojenną, w czasie wojny i powojenną.

NAGRODA LITERACKA MŁODYCH

w kwocie funtów 50.

Nagrodę tę otrzyma pisarz, który nie wydał książki przed wrześniem 1939 r., a ogłosił ją względnie napisał na obczyźnie po 1 stycznia 1946 (jest to przybliżona data świadomego wyboru emigracji jako czynnej postawy w sprawie polskiej).

Ponieważ znane powszechnie trudności wydawnicze mogły nie pozwolić na ujawnienie się wszystkich młodych talentów — nagroda ta może być przyznana również za dzieło literackie, nadesłane w maszynopisie do dnia 31 marca 1951 do Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", przyczem nagrodzona tego rodzaju praca może być wydrukowana i osobno honorowana przez Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas".

Nagroda ta przyznana będzie za tom prozy lub poezji.

NAGRODA ZA ROZPOCZĘTĄ W RĘKOPISIE PRACĘ LITERACKĄ,

dla której ukończenia potrzebna jest pomoc materialna — w kwocie funtów 25.

Każdy pisarz pozostający na emigracji może nadesłać do Jury Katolickich Nagród Literackich rozpoczęty rękopis swej pracy, do której ukończenia potrzebna jest mu pomoc materialna.

NAGRODA ZA PRZEKŁAD KATOLICKIEGO DZIEŁA LITERACKIEGO Z JĘZYKA OBCEGO NA JĘZYK POLSKI

w kwocie funtów 25.

Mimo wieloletniego naszego przebywania wśród obcych narodów ilość przekładów obcych utworów literackich na język polski jest znikoma. Pragnąc zachęcić pisarzy do wysiłków w tym kierunku Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" przyzna powyższą nagrodę — za przekład prozą lub wierszem, ogłoszony drukiem po 1 stycznia 1946 lub nadesłany w rękopisie.

NAGRODA DLA PUBLICYSTY KATOLICKIEGO

w kwocie funtów 25.

Nagroda ta przyznana będzie za ogólną działalność publicystyczną w duchu programowo katolickim.

NAGRODA ZA PRACĘ NAUKOWĄ Z ZAKRESU HUMANISTYKI

w kwocie funtów 25,

ogłoszoną drukiem po 1 stycznia 1946 lub nadesłaną w rękopisie.

* * *

Połowę wyżej wymienionych nagród w kwocie funtów 100 fundują polskie ośrodki katolickie. Połowę zaś mają ufundować Czytelnicy wydawnictw Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" w drodze składek, których listę z dniem dzisiejszym otwieramy. Składki Czytelników będą dowodem troski społeczeństwa polskiego na uchodźstwie o los narodowej twórczości.

Jeśli do zebranej w ten sposób sumy braknie jakiejś kwoty — wyrówna ją Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas".

* * *

Termin wręczenia nagród w dniu święta Królowej Korony Polskiej i święta narodowego

DNIA 3 MAJA 1951 R.

* * *

Skład Jury ogłoszony będzie później.

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

# LIST DO ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA

Ekscelencjo, Przewielebny Ojcze!

Ośmielam się niniejszym przedłożyć Waszej Ekscelencji poniższe moje pokorne pismo, do czego upoważnia mnie odwieczny zwyczaj i znana Przewielebnego Ojca dobroczynność. Jeżeli styl mój w czymkolwiek miałby uchybić obyczajom, proszę o tym przepięknym sposobem, wyrozumiałość, gdyż zatraciłem już umiejętność pisania jakim piszą dzieci, nie studiowałem sposobu, w jaki pisano podania w Bizancjum u schyłku starożytności a natomiast nabyłem nałogu pisania listów i podań stylem urzędowym mojej epoki, którą jest, jak Waszej Ekscelencji niewątpliwie wiadomo druga połowa wieku dwudziestego ery chrześcijańskiej. Upraszam więc najusilniej o łaskawe niezwracanie uwagi na formę a pobłażliwe przyjęcie samej treści mej supliki.

W pierwszym rzędzie upraszałbym o przysłanie śniegu. Chodzi mi o śnieg prawdziwy: żeby był sypki i iskrzący, nie topniejący, nie lepiący się, żeby tworzył warstwę kilkunastu centymetrów grubości i żeby zalegał od progu do drogi. W tym śniegu proszę uprzejmie umieścić dużo oświetlonych okienek. Proszę nie zawieszać wieńców z ostrokrzewu, ale ustawić za okienkami choinki, oprawione w krzyżaki z desek. Girlandy papierowe są niewskazane, natomiast bardzo pożądane gwiazdy wycinane z kolorowego papieru i t.zw. „światki".

Upraszam o nieprzysyłanie „wait'ów" z dzwonkami, natomiast o skierowanie do mnie chłopców z szopką i z kolędami. Celem przyjęcia tej młodzieży zabiegam o prawdziwe pierniki, o tarty mak z miodem i łamańcami, o suszone jabłka. Przy okazji prosiłbym o ryby, rozumie się ryby słodkowodne, żywe lub śnięte, przy czym szczególnie zależy mi na szczupaku w szarym sosie i na karpiu po żydowsku. O suszonych grzybach pozwalam sobie wspomnieć nawiasowo.

Nie chciałbym, aby Ekscelencja z powyższego nabrał przekonaia, że jestem smakoszem lub, co gorsza, żarłokiem. Idzie mi nie o jadło, lecz o te właśnie potrawy a ściślej o implikacje uczuciowe, jakie się z nimi w mojej psychice wiążą. Pisząc to zaczynam nawet zdawać sobie sprawę, że właściwie nie chodzi mi o potrawy, ale o rzecz znakomicie poważniejszą. Uświadomiłem to sobie, gdy chciałem zamieścić wśród moich próśb kulinarnych słowo „babka". Tak jest, Ojcze Przewielebny, następna i większa moja prośba dotyczyć będzie babki.

Nie mam na myśli ciasta wypiekanego w donicy, które u nas nazywają babką. Byłaby to prośba niepoważna i nie trudziłbym nią Waszej Ekscelencji, tym więcej, że ciasto zbliżone do tego typu można nabyć w paru polskich tzw. kontynentalnych sklepach w tym kraju. Idzie mi o człowieka, o instytucję rodzinną. Moje prośby dotyczą, jak to Ekscelencji wiadomo, wilii czyli wigilii świąt Bożego Narodzenia. Otóż wilia spożywana wśród przyjaciół lub nawet w rodzinie paroosobowej, złożonej najwyżej z przedstawicieli dwóch pokoleń, nie odpowiada moim potrzebom. Chcę koniecznie elementu tradycji, potrzebuję osoby umiejącej wszystko przygotować fachowo, słowem przedstawicielki starego pokolenia. Wiem, że nie wyrażam się dość jasno ani przekonywająco. Nie wiem, czy Wasza Ekscelencja była kiedy wygnańcem, toteż muszę poprzestać na stwierdzeniu, że ułamkowa rodzina emigracyjna, bez krewnych i sąsiadów, bez środowiska, a już szczególnie bez babki nie tworzy należytego tła dla święta Bożego Narodzenia.

A skoro już ten temat poruszyłem, prosiłbym o sąsiadów. Nie przypadkowych ludzi, którzy obok mieszkają, nie znajomych przebywających o godzinę jazdy autobusem, ale prawdziwych sąsiadów, tj. wszędzie naokoło ludzi mówiących tak samo jak ja, myślących podobnie i obchodzących wilię. Chcę słyszeć ich śpiewy a następnie spotkać ich na pasterce.

Pisząc o sąsiadach, czy, jak to może kto inny ująłby, otoczeniu, środowisku, społeczeństwie, muszę starać się możliwie najdokładniej uzmysłowić Przewielebnemu Ojcu, o co mi właściwie chodzi. Najistotniejsze wydaje mi się, by mieli oni odpowiednią predyspozycję wewnętrzną. Przypomina mi się tu dawno zasłyszane słowo „dobra wola". Jeżeli można tak się wyrazić, zależy mi najistotniej na otoczeniu ludźmi dobrej woli. To, może niespodziewane życzenie uzasadnić sobie pozwalam tym, że, wedle mego skromnego zdania, najważniejszym elementem obchodu świąt Bożego Narodzenia jest oderwanie się od trosk i zagrożeń sytuacji życiowej i osiągnięcie stanu pełnej równowagi psychicznej, jakby to można było określić, pokoju wewnętrznego.

Ta ostatnia uwaga prowadzi mnie do następnej prośby. Dotyczy ona pokoju w okresie świąt. Gdyby Ekscelencja mógł spowodować, żeby w tych dniach nie ginęli ludzie masowo w mandżurskim mrozie od różnych doskonałych narzędzi technicznych, tudzież żeby nie ginęli ludzie w piwnicach policji politycznej od tortur, które znane były już w czasach Waszej Ekscelencji, byłoby to nawet dla mnie osobiście niezmiernie ważnym czynnikiem świątecznym. Nie śmiem zaś już wprost prosić o zmniejszenie nacisku strachu przed nadchodzącymi wydarzeniami, jaki w te dni świąteczne będzie leżał nad nami wszystkimi, zwłaszcza tam, gdzie właśnie są te okienka z choinkami za iskrzącym się śniegiem. Proszę łaskawie pojąć, że nie chodzi tyle o same możliwe wydarzenia, co o nasz do nich stosunek, o tę sumę nienawiści, oszustwa, strachu, kłamstwa, gniewu, niepewności, bo ja wiem czego jeszcze...

Właściwie obecnie, rzucając okiem na to, co napisałem powyżej, czuję potrzebę wyjaśnienia moich wyżej zamieszczonych próśb. Po głębszym namyśle dochodzę do przekonania, że nie zależy mi na tych rybach a nawet śniegu, jako takich. Właściwie zależy mi na nich tylko jako na wyrazie pewnych rzeczy trudnych do wyrażenia. Albo, gdyby Ekscelencja pozwolił mi tak tę sprawę sformułować: Proszę o wstawienie się za mną w sprawie udzielenia mi pokoju wewnętrznego z równoczesnym udzieleniem takiegoż pokoju możliwie największej ilości ludzi zasługujących na to wyróżnienie. Co zaś do innych próśb, to są one w istocie mało ważne i proszę Waszą Ekscelencję o traktowanie ich jedynie jako wyjaśnienie moich myśli a nie jako rzeczywistych zamówień.

Rozumiem, że w istniejących warunkach psychologicznych i historycznych prośba moja ma pewne cechy ekstrawagancji. Zdaję sobie sprawę, że łatwiej byłoby może dostarczyć śnieg, ryby i szopkę, niż spowodować zesłanie pokoju wewnętrznego dla pewnej ilości współczesnych ludzi. Tym niemniej z tą właśnie, i w gruncie rzeczy tylko z tą, prośbą zwracam się o łaskawe pośrednictwo, której wedle mego najlepszego rozumienia, może Przewielebny Ojciec bez obrazy wysłuchać i bez względu na formę, w jakiej została wypowiedziana, łaskawie ją potraktować.

Pozostaję z należytą, choć nieudolnie wyrażoną czcią

**Wojciech Wasiutyński**

P.S. List ten wysyłam za pośrednictwem redakcji, ponieważ prawidłowego sposobu adresowania zapomniałem jeszcze za pontyfikatu Benedykta XV.

BEATA OBERTYŃSKA

# KOLĘDNICY

**Pierwszy znać o nich dawał**
**psa zjadliwy szczek —**
**(pies nazywał się Asan,**
**podczas wojny zdechł).**
**Potem dźwięczał wzdłuż domu**
**twardy, chrupki śnieg,**
**póki wreszcie pod okien błoną zamarzniętą**
**nie zagrzmiała, runęła ciemna noc — kolędą.**

**Pod oknem kufer duży, dudniący jak grzyb —**
**łomot białej, składanej, wąskiej okiennicy**
**i my — my wszyscy mali przypadli do szyb. —**
**Za szybą kolędnicy!**
**Jakże jakoś odświętnie,**
**Jakże jakoś — nowo!**
**Fartuszek przy fartuszku**
**i głowa nad głową...**
**— A tam śpiewem i mrozem dymią twarze obce**
**i tak złoto i cudnie**
**i tak jasno w szopce**
**i tak jasno i cudnie**
**i tak złoto w nas!**
**— Za nami pokój bezpieczny znajomy i nasz —**
**i jeszcze na wszystko za wcześnie**
**i jeszcze na wszystko — czas!**

— — — — — — —

**Boże! Boże! Mój Boże!**
**Czy teraz już i ciemność**
**jest inna na dworze?**
**Czy teraz i kolędy mają inny smak,**
**że mnie zawsze goryczą w gardle dławią tak?**
**Gdzie serce, w którym złoto bywało jak w szopce?**
**Gdzie pokój, w którym swojskie były nawet noce?**
**Co się stało z tym czasem, co go było — tyle?**

— — — — — — —

**Dopalił się ogarek przykapanej świecy**
**— odeszli kolędnicy. —**
**Czas mi tak pokrajało na lata i chwile,**
**że mi już wszystko jedno, na co resztę potną. —**
**Serce dziś — to już tylko robaczywy grzyb. —**
**Od okien wieje pustka, noc i chłód i strach.**
**Ach! — I czuję, jak moja zgorzkniała samotność**
**kolezastymi ostami przymarza do szyb.**

**Beata Obertyńska**

# DZIEJE FORMY DO OPŁATKÓW

W roku 1941, w pierwszych dniach września zjechało do Tockoje w ZSRR, gdzie organizowała się 6 Dywizja Piechoty Wojsk Polskich, około 14.000 żołnierzy.

Powstała w tych warunkach pilna potrzeba wypiekania opłatków, gdyż zjeżdżający z dalekich zakątków Rosji Sowieckiej Polacy przystępowali tłumnie do spowiedzi i Komunii św.

Duszpasterstwo Dywizji było w prawdziwym kłopocie wobec całkowitego braku opłatków. Po paru dniach zgłosił się st. strz. Machaj ze wsi Łysakówek z Kieleckiego, z zawodu ślusarz i wyraził gotowość wykonania formy do wypieku opłatków.

Nie była to jednak tak prosta sprawa. Powstały trudności zdawałoby się nie do przezwyciężenia, gdyż nie było na miejscu ani żadnych narzędzi ani też pieca kowalskiego.

Jakież było zdumienie duszpasterstwa, kiedy po kilku dniach st. strz. Machaj przyniósł upragnioną formę z wyrytym własnoręcznie na wewnętrznej jej stronie rysunkiem, przedstawiającym wizerunek Matki Boskiej, św. Jerzego, zwalczającego smoka oraz serce z krzyżem.

Z początku forma nie nadawała się w pełni do użytku, po pewnym jednak czasie wykonawca ją ulepszył.

Gdy przyszedł okres wypieku opłatków wigilijnych, okazało się jak nieocenione forma oddaje usługi. Była bowiem jedyną w całym wojsku polskim w ZSRR. Z czasem czynione były próby wykonania podobnych form w innych oddziałach, ale żadna nie nadawała się do wypieku opłatków, psując tylko mąkę, o którą w Rosji było tak bardzo trudno.

Na święta Bożego Narodzenia 1941 roku wypieczono przy pomocy tej formy nie mniej nie więcej tylko 8 tysięcy opłatków wigilijnych i wysłano je do wszystkich oddziałów wojskowych oraz do ośrodków wygnańców polskich na Syberii, skąd otrzymano wzruszające listy dziękczynne. Ponadto Duszpasterstwo 6 Dywizji Piechoty dostarczało wszystkim księżom kapelanom komunikanty i hostie przez cały okres pobytu wojsk naszych w Rosji, a w obozie Kizil - Ribat w Iraku i później w Palestynie służyła wspomniana forma również do masowego wypieku opłatków dla całego polskiego wojska.

W maju 1945 roku forma ofiarowana została przez proboszcza W.P. księdza Fr. Tyczkowskiego Muzeum Polowemu Wojsk Polskich we Włoszech, a obecnie znajduje się w ośrodku muzealnym Instytutu Historycznego im. gen. Wł. Sikorskiego w miejscowości Banknock w Szkocji.

**W. Kopaszyna**



Wł. Skoczylas ZBÓJNICY

AUGUSTYN STEFFEN

# GWIAZDKA MOJEJ MŁODOŚCI

W ZIEMI, której zwyczaje opisuję, nie ma „Gwiazdki“, ani „choinki“, jak gdzie indziej, ani „drzewka“, jak na Kaszubach i Kociewiu, ani „gwiazdóra“, jak w Wielkopolsce i jej sąsiedztwie, ani „św. Mikołaja“. Gwiazdkę nazywają tam „Godami“, jak w dawnej Polsce, choinkę „eglią“ co jest prutenizmem, oznaczającym ‚świerk‘ lub „jodłę“, św. Mikołaja „Panem Bogiem“.

„Pan Bóg“ spełnia funkcje św. Mikołaja, przychodzi w noc wigilijną, kiedy dzieci śpią. Ma on, jak św. Mikołaj, brodę, długą siwą brodę, worek na plecach i w rękach paczki i koszyki. Dzieci są pewne jego przyjścia, gdyż przyjście swoje zapowiedział matce, którą spotkał w mieście, gdzie robiła przedświąteczne zakupy.

Przed przyjściem „Pana Boga“ przychodzą „Sługi“ orszak w strojach biblijnych, z maskami na twarzach. Grzeczni są to chłopcy: dzwonuszkiem oznajmiają swoje zbliżanie się, nie wchodzą do mieszkania, lecz pytają przed drzwiami, czy mogą wejść. Wchodząc śpiewają kolędę. Ich wodzirejem jest Herod, który ongiś, gdy się narodził Chrystus, zabijał dzieci. Dzieci panicznie boją się Heroda, bo towarzyszy mu służalec, niespokojny osobnik, potrząsający ustawicznie kańczukiem, którego nie nosi od parady. On to zapytuje matki, czy w domu są niegrzeczne dzieci. Dzieci nie bije, zadawala się przyrzeczeniem, że się poprawią, a wiadomo, że słowa, danego służalcowi Heroda, dzieci dotrzymują. Gospodyni odprawia „Sługów“ monetą, którą przyjmuje „komornik“ Heroda nie zdejmując kapelusza, aby mu nie spadła z twarzy maska.

Wieczerza wigilijna nie różni się od lepszej, świątecznej wieczerzy. Nie ma tam siedmiu potraw. Zastępują je wspomnienia starszych, że dawniej były i uwagi, że na stole był także groch a pod obrusem grochowiny, gdyż na grochowinach leżało Dzieciątko. Nie ma i ryby na stole, co zastanawia, gdyż w kraju tym mnóstwo jest ryb pod lodem. Ale nie bierz tego za złe Warmiakom, kochany Czytelniku! Przed 300 laty mieszkali oni na peryferiach Polski, a 150 lat żyli w izolacji.

Na Nowy Rok, jak gdzie indziej: wszyscy składają życzenia. W noc sylwestrową dziewczęta topią ołów, rzucając płynną masę do naczynia z wodą, aby z kształtów, jakie ona tam przybiera, wyprowadzić wróżby, co trochę trąci importem. Chłopcy zaś w parafii gietrzwałskiej chodzili z „niedźwiedziem“. Niedźwiedź znosił męki Tantala. Kaftan, zrobiony z węża słomianego, nie przepuszczał powietrza, ponadto „niedźwiedź“ musiał chodzić na czworakach, zatańczyć w każdej chacie i prowadzony był na łańcuchu. Zwyczaj ten urwał się za ludzkiej pamięci, gdy „niedźwiedzia“, zamęczonego niemal na śmierć, przyniesiono matce na noszach. Matka chciała chłopakowi dać w skórę, ale chłopak obronił się słowami: „Mamo, nie bij, bo już za późno, ja umieram!“ Nie umarł, gdyż wmieszał się miejscowy lekarz, który po kilku miesiącach postawił chłopaka na nogi.

Święto „Trzech Króli“ poprzedza zwyczaj, zwany „Rogale“, pewnie od przebranej za rogaciznę wesołej gromady. Zwyczaj to skostniały, bo za naszych czasów „Rogale“ nie mieli rogów, ani nie „zamieniali“ się w zwierzęta. Dzieci ubogich rodziców chodziły od gospodarza do gospodarza zbierając dary w naturze. Przed drzwiami śpiewały kolędę, w izbie piosenkę komiczną z inwokacją do gospodyni:

**Stąpa pani, stąpa,**
**Kluczykami brząka,**
**Od komórki do komórki**
**Szuka noża do pieczonki.**

**Kiełbasa na grzędzie:**
**Oj, to nasza będzie!**

**Oj, krajcie, krajcie**
**Daleko od ręki,**
**Nie zadajcie sobie**
**Takiej dużej męki!**

**Oj, dajcie nam, dajcie**
**I świniego ciała,**
**Aby wasza dusza**
**Do nieba się dostała!**

Jeśli w izbie był gospodarz, zwracano się do niego z podobną piosnką:

**Panie gospodarzu,**
**Bądźcie pozdrowieni,**
**Pokojem i zdrowiem**
**Bądźcie obdarzeni,**
**Byście tak Rogali**
**Za rok doczekali —**
**szczęśliwie!**

**Oj dajcie nam, dajcie**
**Choć burego grochu,**
**Aby się wam bydełko**
**Chowało co roku!**

**Miły gospodarzu,**
**Bądźcie pozdrowieni,**
**Jakeście takim byli,**
**Toście też chodzili,**
**A coście dostali,**
**Toście chowali —**
**do worka!**

Pisząc o zwyczajach gwiazdkowych na Warmii, nie podobna nie wspomnieć o dziadach, którzy rok rocznie nachodzili przed świętami chaty, aby życzyć gospodyni szczęścia i popatrzeć na słoninę, wiszącą pod pułapem. Przychodził więc Burdyna, dziad, którym matki dzieci straszyły. Ale i one bały się tego dziada, więc dawały, co mogły, oby odpłynął. Skończył doczesną wędrówkę, jak przystało na takiego dziada, pod płotem. Dobrzy ludzie zajęli się jego pogrzebem, a piszący te słowa nazwiskiem. Badania onomastyczne wykazały, że dziad nie miał nazwiska, lecz przezwisko: wyraz „burdyna“ bowiem jest prutenizmem, nazwą dla „wróżbity“. Nieboszczyk nasz był ostatnim przedstawicielem tej instytucji, która grała niesłychanie ważną rolę u starych Prusów, pierwotnych mieszkańców Ziemi Warmińskiej.

Innym dziadem, który przychodził na święta Bożego Narodzenia, a z którym gospodynie się liczyły, był Winczara. To ciekawy osobnik. Przy swoich „zawodowych“ zajęciach znajdował on dosyć czasu, aby kojarzyć małżeństwa. Znał w promieniu kilkudziesiąt kilometrów każdego chłopaka i każdą dziewczynę. Kiedy już nie żył, zająłem się jego nazwiskiem. Przemówiło ono głośno i doniośle, gdyż jego nosiciel był przedstawicielem instytucji, jaka odgrywała doniosłą rolę w życiu pierwotnych mieszkańców Ziemi Warmińskiej. Sztukę swatania tego dziada opisał Paweł Sowa w broszurze pt. „Winczara rajek“. Autor nie zdawał sobie sprawy, że wyraz „Winczara“ jest staropruską nazwą dla „rajka“ i że oba te wyrazy, z którego składa się tytuł jego „dzieła“ są nazwami jednej rzeczy.

Dziadem przedświątecznym, który by się obraził, gdyby się nazwało go dziadem, był Flakowski, dziad-kaleka, chodzący na szczudle i o jednym kiju. Był parobkiem u gospodarza, gdzie zaatakował go byk i pokręcił mu nogi. Ubierał się po pańsku, przychodził wymyty, wygolony, uczesany z angielska. Wchodząc do izby legitymował się słowami: „Pan von Flakowski, syn gospodarski“. Gospodynie go szanowały, bo zwyczaj miejscowy kazał szanować ludzi, obdarzonych kalectwem. Boże Narodzenie jakiegoś tam roku między dwiema wielkimi wojnami obchodził w karczmie i, jak wolno wnosić z okoliczności, przy kieliszku. Przechodząc następnie obok wiejskiej sadzawki, naprzykrzał się dzieciom, ślizgającym się na lodzie. Starsi chłopcy, oburzeni zuchwałością, zastąpili mu drogę i zaczęli grozić: „Pójdziesz, dziadzie, po lodzie, albo zginiesz!“ Pan von Flakowski, uniesiony strachem, włożył szczudło pod pachę i maszerował po lodzie jak żołnierz. Matka moja nie chciała wierzyć, gdy jej zakomunikowałem, że Flakowski jest symulantem.

**Augustyn Steffen**



*Rys. St. Gliwa*

BOLESŁAW KOBRZYŃSKI

# INTROLIGATOR

**Stary Marcin, introligator z łaski Bożej, każdą broszurę najpierw oczywiście rozdziela na składki, jakby ją rozbijał na atomy, poczym zszywa składki na dwa paski. Kiedy książka jest zszyta, obcina ją nożem introligatorskim okrągłym jak tarcza zegarowa. Te czynności wykonuje bez wysiłku woli, mechanicznie, ile że format i objętość książki dyktują mu tempo i tok czynności.**

**Dopiero wtedy, gdy przystępuje do samej oprawy — o, wtedy czuje się natchniony poleceniami bibliotekarza, jakby był sam woluminem, wsłuchującym się w szept mądrych liter, na nim wydrukowanych.**

**Wpierw myje ręce z kleju stolarskiego, którym wzmocnił wypukły grzbiet broszury i przytwierdził kapitałkę, o kolorze zależnym od rodzaju danej biblioteki.**

**Ilekroć jednak przystępuje do wyboru płótna czy skóry na okładkę — a czyni to powoli i z namaszczeniem, — tyle razy nie może opędzić się wspomnieniom; w błysku wyobraźni, karmionej tylko sprawami warsztatowymi, jawi mu się od początku do końca cała jego kariera introligatorska.**

**Oto, przymrużywszy oczy, widzi pierwszą swoją okładkę, którą wykonał, przeprowadziwszy się do nowego warsztatu. Wtedy to jego źrenice wpatrzone w witraże, błogosławiło światło, srebrne i nadnaturalne. Okładka była ciężka, dębowa, upiększały ją zaś płaskorzeźby o tematach religijnych.**

**Następna okładka była już inna. Safianowa skórka, a na niej wytłoczony złoty wzór przypominający wystylizowaną fanfarę. Tę książkę oprawił był dla księcia, który przepadał za polowaniami, do tego stopnia, że w chwilach odpoczynku kazał sobie grać muzyczne utwory myśliwskie, caccia.**

**W tym samym czasie wykonał zgoła inną okładzinę. Pamięta, że bardzo się podobała bibliotekarzowi królewskiej biblioteki. Była także ze skóry, a ozdabiały ją wyciśnięte, pozłacane arabeski oraz takie motywy, jak narzędzia i instrumenty.**

**Gdy na placu, obok jego warsztatu, budowano wspaniały barokowy kościół, wtedy, pamięta, miał na warsztacie książkę, której oprawa zabrała mu więcej uwagi, niż inne. Tekturowa oprawa musiała być obciągnięta haftowanym aksamitem, a dla oprawionej już książki trzeba było postarać się o skórzany futerał obity srebrem i w dodatku emaliowany. Oczywiście, wszystkiego nie był w stanie sam wykonać, przeto zwrócił się o pomoc do odnośnych miejscowych cechów.**

**Potem, a było to w czasach niespokojnych i burzliwych, oprawiał książki w czerwoną marokańską skórkę i wytłaczał na środku złoty medalion z herbem.**

**Z kolei przypomniał się staremu Marcinowi ten okres, kiedy oprawiał pierwsze powieści. Ach, co to było! Bibliotekarka, elegancka, efektowna dama, upierała się, że oprawa książki powinna być czysta i jasna, poleciła mu przeto, aby jej książeczki, delikatne i małe jak modlitewniki, wzmocnił okładką z białego aksamitu, a na wierzchu wycisnął złoty wzór à la cathedrale, albo medalion.**

**Potem nastały zupełnie inne czasy. Stary Marcin nie mógł się uskarżać na brak zajęcia. Całe stosy książek odstawiał wtedy do biblioteki. Ponieważ małą wagę przywiązywano do zewnętrznej strony książki („Treść — to grunt“), więc robota szła szybko. Grzbiet i rogi tekturek oklejało się zwykłym płótnem introligatorskim, zresztą stosowało się papier o marmurkowym deseniu.**

**Ale znowu zmieniły się gusty. Tym razem wszelkie księgi nawet filozoficzne, otrzymywały okładki obciągnięte szarym, samodziałowym płótnem, z czarnymi tłoczeniami w postaci dziwacznych kreskowych rysunków. Czasem dla odmiany nadruk był barwny, ale kolory kłóciły się i wykluczały wzajemnie.**

**Na koniec stary Marcin otrzymał nowe zamówienie. Bibliotekarz, o wspaniałej czuprynie, przypominającej grzywę lwa, przystąpił do restaurowania swej starej biblioteki i w związku z tym zamierza wprowadzić nowy typ okładek, zresztą bardzo wyszukany. A więc: skórka, srebrna jak poświata księżycowa, względnie biała i złoty nadruk jak medalion pośrodku.**

**BOLESŁAW KOBRZYŃSKI**

JAN WEPSIĘĆ

# ZIELEŃ ŚWIĄTECZNA

Poczet zwyczajów, związanych ze świętem Bożego Narodzenia jest przebogaty. Różny ich wiek i różna popularność. Początek jednych zwyczajów gubi się gdzieś w mrokach starożytnego, pogańskiego Rzymu; inne są stosunkowo młode, bo swymi narodzinami sięgają w pokolenie tylko naszych dziadów czy pradziadów, czyli liczą sobie okrągło zaledwie około jednej setki lat.

To nagromadzenie się zwyczajów w okresie świąt Bożego Narodzenia tłumaczy się z jednej strony tym, że przypadają one na okres zimowy, który był wolny od pracy przez długie wieki, kiedy przeważał rolniczy typ produkcji, po drugie religijna treść święta szukała symbolów. Były więc zwyczaje świąteczne i wyrazem religijnych pojęć i zaspokojeniem potrzeby rozrywki i radości.

Zieleń i drzewko świąteczne wybraliśmy sobie jako temat dzisiejszych uwag. Używało się ich i używa dla zdobienia domów i kościołów. Jest to zupełnie zrozumiałe. Zieleń w okresie zimy była czymś bardzo atrakcyjnym. Dzięki temu łatwo mogła stać się symbolem przezwyciężenia martwoty zimy. Było to w pojęciu wierzącego chrześcijanina tak bliskie jego przekonaniu o przezwyciężeniu siły i panowania szatana nad światem przez przyjście na świat Jezusa.

Wśród rodzajów zieleni, używanej do zdobienia domów i kościołów już przez pierwszych chrześcijan, o czym wspomina apologeta Tertulian, były bluszcz i ostrokrzew. Bluszcz był symbolem rzymskiego boga Bacchusa i używano go do zdobienia domów w okresie Kalend i Saturnalii. Ostrokrzew jako materiał podobny do tego, z którego zrobiono cierniową koronę Chrystusa, odpowiadał duchowi symboliki chrześcijańskiej. Kościół zwalczał ten zwyczaj, jednak utrzymał on się długo. Przedreformacyjne kolędy angielskie z w. XV i pierwszej połowy XVI zawierają dużo wzmianek na ten temat. Zwyczaj ten później zamarł, w pewnej mierze na skutek zwalczania go przez purytanów.

Dużą natomiast popularnością w Anglii cieszy się dzisiaj jemioła. Znamy ją jako ozdobę mieszkań i jeszcze może lepiej jako najczęstszy motyw ogłoszeń handlowych w okresie świątecznym. Skromna łodyżka z kilkoma listkami o charakterystycznym kształcie i dwoma czy trzema zielonymi jagodami stała się tutaj symbolem bożenarodzeniowego okresu.

Weszła ona do zwyczajów świątecznych prawdopodobnie w w. XII, kiedy odżyły wierzenia druidów, którzy uważali ją za cudowne ziele lecznicze na wszystkie choroby. Jej sposób życia nie na ziemi, lecz na ciele innej rośliny ułatwiał ludziom uczynienie z niej symbolu ponadnaturalnych sił życia. Angielka, kupująca pęk jemioły na targu nie myśli dziś oczywiście o symbolicznym znaczeniu; traktuje ją jako ozdobę, z którą kojarzy się pasmo wspomnień miłych, serdecznych.

Najpopularniejszym dzisiaj w Europie zwyczajem świątecznym jest drzewko. Jego rywalem może być chyba tylko wysyłanie kartek świątecznych. Początkami swymi sięga ten zwyczaj czasów Lutra i prawdopodobnie wiąże się z jego działalnością. Na duże prawdopodobieństwo takiego przypuszczenia wskazywałby fakt, że zwyczaj ten przez długi okres czasu był znany tylko w niemieckich ośrodkach protestanckich. W rolniczych ośrodkach katolickiej Bawarii przyjął się znacznie później. Był to zwyczaj domowy, dopiero później wszedł do zborów protestanckich a następnie do kościołów.

Narody europejskie przyjmowały ten zwyczaj od Niemców w ciągu XIX stulecia. Najwcześniej przyjął się w Finlandii. W Danii i Norwegii był znany około r. 1830. W Anglii pierwsze drzewko urządziła Niemka, księżna Lieven w r. 1829. Od chwili, kiedy książe Albert urządził drzewko na zamku Windsor w r. 1841, zwyczaj ten upowszechnił się w Anglii. Mniej więcej w tym samym czasie przyjął się i we Francji. U schyłku XIX wieku był już powszechny w całej zachodniej i środkowej Europie.

Popularność drzewka i przyjemność związana z jego posiadaniem przyczyniły się do zeszpecenia drzewka. Piękny o strzelistych kształtach, pachnący żywicą swierk czy jodełka został obwieszony do przesady przeróżnymi złoconymi owocami, zabawkami, postaciami z bajek czy awanturniczych opowiadań. Takie właśnie drzewko jest przedmiotem wspomnienia Dickensa w „Christmas Tree".

Dziś, kiedy na skutek szybko postępującego uprzemysłowienia szereg dawnych zwyczajów, związanych z życiem wiejskim szybko zamiera, drzewko utrzymuje swój ponadklasowy społecznie, powszechno-europejski a nawet międzynarodowy charakter swej popularności. Widzimy je w domach bez różnicy klas społecznych, w większych sklepach czy domach handlowych, na większych stacjach kolejowych. W większych miastach zarząd miasta czy organizacje społeczne urządzają drzewko dla tych pracowników, którzy ze względu na charakter swej pracy nie będą mogli spędzić wieczoru wigilijnego w gronie rodzinnym. Pamiętam takie drzewko-olbrzyma w Krakowie, ustawiane corocznie przed „Pałacem Prasy".

O międzynarodowym charakterze tego zwyczaju świadczy fakt, że mieszkańcy Oslo już od r. 1947 rok rocznie przysyłają drzewko w darze dla Londynu. Umieszcza się je na Trafalgar Square. Drzewko z r. 1948 liczyło sobie 64 stóp wysokości. Jest ono zawsze atrakcją i dla lorda mayora Londynu, serdecznie ściskającego rękę prezydenta miasta Oslo i dla londyńskich chórów, śpiewających wokół niego kolędy i dla fotografów i sprawozdawców, no i oczywiście dla ludu, oglądającego choinkę o wszystkich porach dnia. Jest to „fun" — dostępny dla wszystkich i zrozumiały dla wszystkich.

**Jan Wepsięć**





*LINORYTY St. Gliwy*

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

# KOLĘDY OSTROBRAMSKIE

Przybieżeli do Betlejem — płakali...
Jako ptacy na śiegu posiadali,
Postulali ramiona i głowy
Pod okrutnym wichrem zimowym.
Pogubili po drodze skrzypeczki
I multanki i fujareczki
I piosenki kantyczkowe odwieczne
Pomieszali z płaczem serdecznym.
Powiadali między sobą w rozpaczy:
Już nie żyje Kuba-nieboraczek,
W polu leżą śniegiem zasypani
Braciszkowie pomordowani...
Padły nasze woły i owce
Po wądołach i po manowcach,
A coć jeszcze ocalało ze stada,
Nieprzyjaciel nam porozkradał.
Poglądali po niebie w żałości,
Czy nie widać złocistej jasności
I słuchali z zapamiętaniem,
Czy ich dojdzie anielskie śpiewanie...
O północy wzeszła gwiazda czerwona,
Nieruchoma w sinych osłonach,
Zakrwawiła się od niej biel ziemska...
— Betlejemskaż to? Betlejemska?...
Tak pytali, poglądając wokół,
A nie było odpowiedzi... Tylko w mroku
Wypełzł chudy owczarek jak szczapa,
Zawył w gwiazdę, dalej poczłapał...
Oni zasię w groźnym blasku przelękli,
Zobaczyli czarne zgliszcza stajenki,
Czarne dymy miast skrzydeł aniołów
I miast żłóbka — garstkę popiołu.

Przybieżeli do Betlejem... Nie wiedzieli,
Że w tym roku nie śpiewają anieli
I ptaszkowie potruchleli od lęku,
Nie wzbijają się nad stajenką.
Więc czekali, aż się ozwą nad lasem:
Szpak — tenorem, a gołąbek — basem,
Aż się puszcza Rudnicka ocuci
W pierwszym wiosny idącej przeczuciu
Aż szum pójdzie po gałęziach ockniętych
Żywiołowy, kolędowy, wniebowzięty,
Aż Wilija, gdy ją wicher omuśnie,
Srebrnym szeptem zakołysze się, pluśnie
I zadzwonią nurty i roztocza
Pod piersiami lodowymi Narocza...
Nie wiedzieli... Chcieli hołd oddać Panu...
I przybiegli z Sybiru, z Kazachstanu,
Z Uralu, ze Smoleńska, z Siewierza —
Miłosierdzia pragnący pasterze...
I czekali na mrozie objęci...
I zastygli w nieskończonym adwencie...

Przybieżeli do Betlejem przez trakt Lidzki,
Przez Oszmiański trakt i przez Rudnicki,
Pozrywali się, gdzie który leżał:
Z puszczy, z rojstu i z przyjezierza,
Z osad leśnych, z pustych zaścianków,
Z pod opłotka, zza węgła, z pod ganku,
Z łóz kępiastych, z tarninowych cierni...
Pastuszkowie, pastuszkowie wierni!
Ach, śpiewali... Ach, kolędowali
Mroźnym gwiazdom, miesięcznej dali,
Zmarzłym drzewom, osadziałym chróstom,
Śniegom, szronom i ciszom i pustkom...
I widzieli zamkniętymi oczami
Jaśniejący Obraz w Ostrej Bramie
I słyszeli od świętego Jana
Pasterkowe granie na organach
I szept tłumów, zatopionych w pacierzach
Od Katedry i świętego Kazimierza...
Przez noc całą trwali w radości,
Rozrzewnieni, ufający i prości,
A o świcie wracali traktem Lidzkim
I Oszmiańskim traktem i Rudnickim,
Przez kraj pusty, przez pola bezgłose
I wsiąkali w modry cień sosen...
I wierzyli, że w tym śniegu i chłodzie
Znów się Chrystus jak co roku narodził...
Ach, jedyni, co z tej nocy mrok starli —
Pastuszkowie, pastuszkowie umarli...

ÓZEF EKKERT

# PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA I PIEŚŃ LUDOWA

Pieśń żołnierską łączy zazwyczaj bardzo bliski stosunek z pieśnią ludową; im dalej sięgniemy w przeszłość, tym stosunek ów jest ściślejszy. Pieśń żołnierska, śpiewana w poszczególnych oddziałach w czasie marszu lub postoju, jest pieśnią śpiewaną zazwyczaj unisono i bez akompaniamentu na jakimkolwiek instrumencie. Pieśni żołnierskie, oparte o pieśń ludową w swojej części muzycznej t.j. melodii, mają zazwyczaj większe powodzenie i dłuższy żywot, aniżeli pieśń żołnierska jako wytwór artysty. Za pieśni żołnierskie uważa się zwykle — w odróżnieniu od pieśni ludowej — pieśni opiewające przeżycia żołnierskie, różne rodzaje broni, rozstanie żołnierza z ukochaną dziewczyną, pogwarki na kwaterze, epizody walk itp. Wypowiedź uczuć, ujęta we wdzięczną melodię i odśpiewana pięknym głosem, trafia niewątpliwie bardziej do serca słuchacza, aniżeli poezja czytana lub mówiona. W pieśni głos ma większe pole popisu; zwykle operuje większym zasięgiem skali i siłą, aniżeli deklamacja.
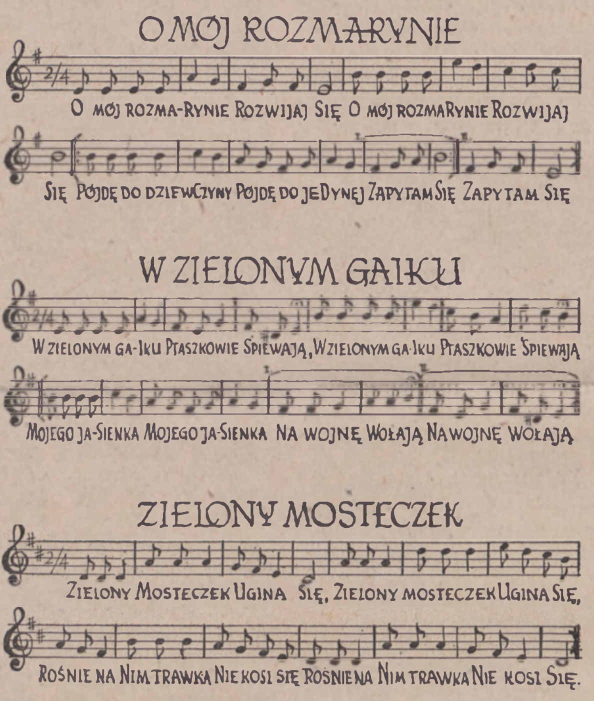
Pieśń żołnierska, podobnie jak ludowa, nie ma znanego twórcy ani melodii ani tekstu; jest ona zwykle pieśnią zwrotkową. Wszystkie jej zwrotki śpiewane są na tę samą melodię. Często powtarza się poszczególne wiersze odnośnych zwrotek. Pieśń żołnierska wypływa z nastrojów żołnierskich i ich przeżyć i ma nawzajem wybitny wpływ na nastrój żołnierza; jest wierną jego towarzyszką. Niektóre z pieśni żołnierskich mają utrwaloną tradycję. Np. pieśń o żołnierzu-tułaczu: „Idzie żołnierz borem, lasem". Starą pieśnią jest znany marsz węgierski Rakoczy'ego, grany Franciszkowi II Rakoczy'emu przez cygana w 1705 roku, a następnie w przeróbce kapelmistrza wojskowego Wacława Ruzyczki, dotrwał do obecnej chwili. Odegrał on w rewolucji węgierskiej roku 1848-49 podobną rolę jak Marsylianka w rewolucji francuskiej. Marsz Rakoczy'ego do obecnej chwili jest ulubionym marszem węgierskim, grywanym w czasie imprez patriotycznych. „Wacht am Rhein" oceniały niemieckie sfery wojskowe w wojnie francusko-niemieckiej 1870-71 na wagę jednego korpusu wojska.

Mało jest przekazów pieśni żołnierskich z czasów niepodległej Rzeczypospolitej, zwłaszcza z odleglejszych wieków. Począwszy od Konfederacji Barskiej, ilość tych pieśni się zwiększa; z okresu Legionów Dąbrowskiego datuje się „Jeszcze Polska nie zginęła"; pierwotnie była ona pieśnią żołnierską, z czasem staje się hymnem narodowym. Powstała z końcem XVIII wieku, zagrzewała na ziemi włoskiej nasze oddziały do walki w czasie wojen napoleońskich.

Nasze ruchy zbrojne w 1831 i 1863/64 roku przekazały nam wcale bogatą spuściznę pieśni żołnierskich. Niektóre z nich przejęło pokolenie żołnierskie Polski Odrodzonej. Śpiewano je również w pułkach wojska austriackiego rekrutacji polskiej. Polska pieśń żołnierska przed pierwszą wojną światową przeszła swój etap przygotowawczy w organizacjach niepodległościowych, jak: Związek Walki Czynnej, Związek Strzelecki i inne. W tym okresie na ziemiach Małopolski rozbrzmiewały obok polskich piosenek także pieśni rewolucyjne rosyjskie, przyniesione przez młodzież, pochodzącą z zaboru rosyjskiego. Z czasem niektóre z tych rosyjskich pieśni doczekały się tekstu polskiego i weszły w stały repertuar pieśni legionowych w czasie pierwszej wojny światowej. Z tych pieśni najpopularniejszą stała się: „Naprzód, drużyno strzelecka" i pieśń o piechocie „Nie noszą lampasów, lecz szary ich strój". Nasza pieśń żołnierska z tego okresu najczęściej czerpie z olbrzymich zasobów polskiej pieśni ludowej, zapożyczając melodię, pod którą podkłada się aktualny tekst. Zależność ta przybiera różne formy i zasięg. Niekiedy spotykamy się z przeróbkami melodii, najczęściej zależnymi od budowy wiersza, to znów niektóre pieśni ludowe o charakterze żołnierskim, traktujące np. o rozstaniu przyszłego żołnierza z dziewczyną, wchodzą w stały rejestr pieśni śpiewanych w oddziałach. Stąd też pochodzi niesłychanie prosta i naturalna budowa melodii naszej pieśni żołnierskiej. Z nastrojów opuszczającego rodzinę, krewnych, znajomych, a przede wszystkim ukochaną dziewczynę gromadzi się w duszy żołnierskiej tak wiele uczuć tęsknoty i zadumy, że szukają one ujścia w piosence. Bardzo często spotykamy się z tematem rozstania i zaciągnięcia się w szeregi żołnierskie z powodu obojętności kochanej dziewczyny. Oto w jaki sposób jedna z pieśni przedstawia tego rodzaju rozstanie: „Jak mnie nie chcesz, nie proszę cię. Ułani werbują, strzelcy maszerują, to i ja też zaciągnę się."

Życie w oddziale, wśród nowych kolegów, w nowych warunkach, o nowej treści, zainteresowaniach, ćwiczenia, twarda dyscyplina dostarczają nowych tematów do rozmyślań. Mundur, wyróżniający żołnierza od reszty obywateli, obowiązki spełniane przez żołnierza w czasie pokoju jako wartownika mienia państwowego, ogrom zadań i trudów, jakie go czekają na wypadek wojny, wszystko to znajdzie swój wyraz w piosence. W ogniu walki scementuje się jeszcze charakter żołnierza. Taka piosenka zaśpiewa świstem kul i poszumem skrzydeł lotniczych.

W ciągu kilku lat pierwszej wojny światowej polska pieśń żołnierska rozbrzmiewała w stosunkowo nielicznych jednostkach legionowych i polskich pułkach armii austriackiej. Jednak z końcem 1918 roku, kiedy to pod uderzeniem wojny rozpadła się monarchia austriacko-węgierska, a w lasku Compiègne kapituluje armia niemiecka, nasza pieśń żołnierska nabiera na sile. Pierwszy korpus polski, tworzony z Polaków z armii rosyjskiej, jest tym nowym oddziałem, w którym polska pieśń rozbrzmiewa przede wszystkim. Polska pieśń żołnierska idzie w ślad za naszym żołnierzem nad Olzę, górną Odrę; nad Wartą rozbrzmiewa pieśń żołnierska wśród szeregów powstańców wielkopolskich. Z czasem zabrzmi pieśń żołnierska na brzegach spienionego Bałtyku, a wtórzyć jej będzie echo, bijące o wał naszych Tatr i Karpat. W swoim pochodzie historycznym, podolskim szlakiem i drogą napoleońską, podąży pieśń nad Boh, Niemen, Dźwinę Zachodnią i Dniepr. Z pomnożeniem się szeregów wojska spotężnieje również i nasza pieśń żołnierska. Pieśń żołnierska nie zawsze powstaje w skończonej formie. Często na jedną pieśń składają się różni autorzy, dorzucając do zwrotek już istniejących nowe. W ten sposób narastała pieśń „O mój rozmarynie, rozwijaj się". Ta zbiorowa praca tworzenia się pieśni żołnierskiej przypomina podobny sposób powstawania pieśni ludowej, której twórca tekstu i melodii jest najczęściej nieznany. Pieśń ludowa, przenosząc się z miejsca na miejsce, narasta, przekazywana z ust




RADOSTOWA

# POLSKA MUZYKA LUDOWA

Muzyka ludowa! Temat, do którego z racji jego objętości bardzo trudno jest się zabrać. Od czego zacząć? Przecież każdej porze roku chłop poświęca inne melodie, wyrażane tańcem i śpiewem. To samo jest z jego długim i pracowitym życiem, gdzie od małego dziecka towarzyszą mu rozmaite święta kościelne i rodzinne, którym zawsze musi wtórować ta sama melodia, co słyszał na podobnej uroczystości jego ojciec czy dziad. Jaki biedny we wzruszenia muzyczne w porównaniu z chłopem jest przeciętny mieszkaniec miasta. Teraz, gdy tak w mieście, jak i na wsi postęp przyniósł radio, możność obcowania z muzyką została ułatwiona dla obu środowisk, jednak tylko w pewnym stopniu. Czy może dać te same wzruszenia muzyka z radioodbiornika i muzyka słyszana na surowo, z natury, z którą chłop bezpośrednio obcuje, która jest mu niezbędną do życia, tak jak dobra książka jest niezbędna dla inteligentnego człowieka. Więcej nawet, chłop swoją muzykę stworzył, aby mu służyła i towarzyszyła w każdej ważniejszej decyzji przez niego powziętej lub narzuconej mu przez religię i naturę. Dlatego też chłop ma do niej stosunek, jaki się ma do swej prywatnej własności — jeśli mu coś nie odpowiada to zmienia, słowa czy melodie.

Lecz istnieje jedno „ale". To nie sam chłop polski stworzył sobie tę melodię czy pieśni, które obecnie nazywamy ludowymi. Ludowymi w sensie ogólnie przyjętym lecz mylnym, a który powiada, że ta ludowość ma oznaczać, iż muzyka owa dotrwała do dzisiaj z czasów dawnych, jeszcze prehistorycznych. Tymczasem niestety bardzo mało zachowało się z tych odległych czasów, ponieważ z chwilą przyjęcia przez Polskę chrześcijaństwa, zaczęła napływać z Zachodu wysoko tam stojąca po reformie gregoriańskiej muzyka kościelna. Z tą nową muzyką nie mogła konkurować muzyka naszych praojców, mimo, że jak wykazują wykopaliska, znane były na ziemiach słowiańskich liczne instrumenty muzyczne (dudy, piszczałki, fujarki, gęśle, bębny itd.) mówiące o niepoślednich zasługach naszych przodków w rozwoju tej gałęzi kultury. Z czasów przedchrześcijańskich mamy w naszym teraźniejszym folklorze muzycznym zapewne jedynie pozostałości w kilku tańcach i instrumentach. Zdaniem Brücknera z doby przedchrześcijańskiej są także pieśni: „Plon niesiemy, plon" i pieśń weselna z Lubelskiego:

„Pośratajże, Boże, te goście
nasze, Łado, Łado,
Pośratała ich matuleńka ich,
Łado, Łado!"
„Oj, śratajcie nas, moja
matulo, Lelum, Łado,
Niech cie Bóg śrataje, co dole
rozdaje. Lelum, Łado!".

(Śratać: jest dawną formą witać, spotykać; J. Kostrzewski, Kultura prapolska).

Jak wspomniałem wyżej, do obecnego stanu muzyki ludowej głównie przyczynił się Kościół. To przejęcie się wieśniaków muzyką kościelną odbyło się w różny sposób, od gwałtu zaczęwszy — zważywszy bowiem, że w początkach państwa polskiego ludność mocno była przywiązana do swych dawnych wierzeń, zresztą pięknych — a skończywszy na wsłuchaniu się w piękno i bogactwo nowej muzyki, słyszanej podczas mszy odprawianych przez pierwszych zakonników - misjonarzy. Słusznie stwierdzają J. Bystroń i W. Dynowski, że wielki wpływ na muzykę ludową wywarła pieśń kościelna, zarówno pod muzycznym, jak i literackim względem. Twórcami tych pieśni byli przede wszystkim księża, zarówno świeccy jak i zakonni, zdarzało się jednak, że układał je również organista. Lud w tej twórczości udziału nie brał, gdyż przekraczała ona jego możliwości: Najbardziej może charakterystycznym wpływem Kościoła są kolędy, które obecnie słusznie się uważa za jeden z głównych przejawów muzyki ludowej. Lecz w tym miejscu zahaczamy także o wpływy świeckie — dużą część tekstów słownych czy muzycznych do tych kolęd napisali nasi znani poeci i kompozytorzy. Melodię np. do „Lulaj-że Jezuniu" skomponował Chopin. Innym wpływem świeckim mogły być wojny i służba w obcych krajach, gdy muzykalny Wojtek lub Bartek przywozili do wsi nowe melodie czy nawet instrumenty. Można w tym miejscu przytoczyć historię „tuba marina", — instrumentu basującego — któremu lud dał własne obywatelstwo i przechrzcił na „grubą marynę".

*

Obszar Polski, na skutek swej tak urozmaiconej struktury fizycznej, różnie wpłynął na psychikę zamieszkującej go ludności, lecz czy istnieje potrzeba mówienia o tych tak dobrze nam znanych właściwościach poszczególnych dzielnic? Wspomnijmy jednak na zakończenie o Kujawach, tej ziemi, która wydaje z siebie smętne, każdego wzruszające melodie. Podczas ostatniej wojny Krystyna Krahelska napisała na jedną z kujawskich nut te piękne słowa, które częściowo pozwolę sobie przytoczyć:

Na Kujawach, na szerokich
żyznych polach
Szara leży mgła,
Ciężka, bezlitosna, bezsłoneczna dola
Ludzi w obcą stronę, jak
wiatr liście gna.

Kujawiaczek, kujawiaczek,
Gdzieś na obcej ziemi żali
się i płacze,
Kujawiaczek, kujawiaczek,
Jak jesienny wicher łka.

**Radostowa**

# PIEŚŃ ŻOŁNIERSKA I PIEŚŃ LUDOWA

do ust, z pokolenia na pokolenie, aktualizuje się, nabierając różnych barw i dźwięków, wyrażających się w wielu wariantach tekstu i melodii.

Obok pieśni swoistego pochodzenia żołnierz polski, tułając się po sąsiednich krajach, przywoził ze sobą także i pieśń obcą. Formacje zapasowe pułków austriackich rekrutacji polskiej przynosiły ze sobą do kraju pieśni oparte o melodie węgierskie, przeplatane często węgierskimi słowami. Pieśni te, mimo żywego rytmu węgierskiego czardasza, miały krótkotrwały żywot; zblakły one szybko pod polskim niebem. Obcą pieśnią, przyniesiona z Francji do Polski przez armię gen. Hallera, rozbrzmiewały szeregi pułków tej armii. Z czasem przyjęła sie również i w innych formacjach, jednak pomimo swej romańskiej lekkości, żywego rytmu i pięknej melodii, nie weszła w stały repertuar polskiej pieśni żołnierskiej. Opiewała ona zalety szynkareczki z gospody „Pod Strzelcem" imieniem Madelon, cieszącej się powszechną popularnością wśród żołnierzy-gości tej gospody.

Spójrzmy, w jaki sposób czerpała nasza pieśń żołnierska z motywów pieśni ludowej. Z powodu szczupłości miejsca przytoczę tylko parę przykładów. Obok umieszczone są melodie: jedna z nich przejęta z pieśni ludowej przystosowuje melodię do tekstu powstałego w latach 1914-18. Drugiej prototyp podany w wersji śpiewanej na polskim Podkarpaciu. Porównanie melodii obu tych pieśni przekonuje nas, jak mało różni się pieśń żołnierska pod względem melodii od swego prototypu. O ile chodzi o tekst, to różnice sa większe i różna tematyka. W pieśni „O rozmarynie" jej bezimienny bohater widząc, że umiłowana przez niego dziewczyna nie odwzajemnia uczucia, zaciąga się w szeregi wojskowe. Wyekwipowany i uzbrojony w szabelkę, już jako wiarus, podejmuje raz jeszcze próbę, czy czar munduru nie wpłynie na zmianę uczuć jego „jedynej". Ale i teraz spotyka się ze stanowczą odmową. Ostatnie zwrotki tej piosenki malują nam walkę, świst kul, błysk bagnetów oddziału idącego do ataku. Pieśń kończy się efektownym przeciwstawieniem, że bohater doczeka się całusa, ale całusa spowodowanego ukłuciem bagnetu, całusa śmierci, ale nie całusa od ukochanej dziewczyny. W pieśni ludowej, prototypie „Rozmarynu", tematem jest śmierć ukochanego na wojnie; o śmierci tej aż nadto wymownie świadczy żałobą okryty jego konik, przywiedziony z wojny przez kolegów Jasieńka. Na propozycję jednego z tysiąca kolegów, ażeby sobie któregoś z nich wybrała, odpowiada niepocieszona dziewczyna: „żeby was tu było jak na morzu piany, nie ma tu takiego jak mój Jaś kochany". Pomijając inne przykłady przystosowania pieśni ludowej przez pieśń żołnierską, nie należy zapominać, że szereg pieśni ludowych nawet tylko przelotnie związanych z wątkiem pieśni żołnierskiej, weszło w poczet pieśni żołnierskiej i to bez jakichkolwiek zmian. Świadczy o tym piosenka „Zielony mosteczek". Weszła ona bez żadnych zmian tekstu i melodii do rejestru pieśni żołnierskiej.

Niekiedy tematem pieśni żołnierskiej jest ćwiczenie. Służy ono żołnierzowi nie tylko jako odparcie zarzutu zazdrosnej dziewczyny, że bałamucił dziewczęta na obczyźnie, ale także podkreślenie trudu wojskowego, który trzeba było znosić.

Częściej spotyka się wątek spotkania dziewczyny na postoju lub kwaterze. Przykładem tego piosenka: „Przybyli ułani pod okienko". Ułani stukaniem do okienka domagają się wpuszczenia do wnętrza izby; zdumiona, a może nawet z odcieniem lekkiego przestrachu, odpowiada dziewczyna: „O Jezu, a cóż to za wojacy?", na co słyszy w odpowiedzi: „Otwieraj, nie bój się, to czwartacy". Podobny wątek znajdujemy w pieśni o melodii pochodzenia niemieckiego, śpiewanej w Legionach: „Raz w ciemną noc do pewnej wsi wszedł strzelec po kwaterze".

Miłość żołnierza do wodza maluje wdzięczna i melodyjna pieśń o Komendancie: „Jedzie, jedzie na kasztance, siwy strzelca strój. Hej, hej, Komendancie, miły wodzu mój!". W innych piosenkach żołnierskich znajdujemy tematy o pochwale różnych rodzajów broni; ulubionym tematem zarówno pieśni ludowej, jak i żołnierskiej, to rosnące kwiaty na grobie bohatera.

Miejsce akcji w pieśni przedstawione najczęściej krótko: „Tam pod lasem, pod dębowym", lub „Pod zielonym dębem stoi koń siodłany". Czasem ramy akcji tworzy „łączka zielona", „czarna rola" lub wreszcie „zielony, gęsty las".

Ulubionym określeniem czasu są trzy lata lub siedem lat: „Trzy roki minęło, ułani już jadą, mojego Jasieńka konika prowadzą". Daleką drogę określa się wyrażeniem „Jechać na kraj świata". Matka żegnając syna idącego na wojnę, mówi: „Jedźże, jedźże na kraj świata i powracaj za trzy lata". Dziewczyna zazwyczaj łączy się z przymiotnikiem nadobna dziewczyna, jedyna dziewczyna. Koń jest kary lub wrony i najczęściej siodłany.

Często spotyka się formę dialogu. „Dramatis personae" są tutaj najczęściej Jaś i Kasia lub Jasieńko i Kasieńka. „Gdzież to jedziesz Jasiu?" „Na wojenkę Kasiu, na wojenkę daleką". Inny znów dialog prowadzony jednak w mniej przyjaznym tonie: „Pojedziesz? „Pojadę." „Nie jedźże mi tędy, bo mi wytratujesz rozmarynu grzędy". Często spotykamy się na początku piosenki z inwokacją, np.: „O mój rozmarynie, rozwijaj się" lub „Hej, ty kalino, rozwijaj się". Również spotykamy przeciwstawienia: jednym z nich jest zastosowane w rozmarynie: „Bagnet mnie ukłuje, śmierć mnie ucałuje, ale nie ty". W tych prostych słowach wyrażony jest żal, że nie danym mu było ucałować kochanej dziewczyny.

Muzyczna strona pieśni żołnierskiej pociąga nas swoją prostotą budowy i łatwym zarysem melodii. Czujemy, że melodia wypływa wprost z serca nieuczonego twórcy; łatwo więc trafia do serca żołnierskiego i dłużej w nim trwa aniżeli twory artystyczne o wyszukanej formie i budowie melodii. Ta prosta budowa melodii wychodzi na dobre piosence śpiewanej w marszu. Tutaj łatwa melodia połączona z wyrazistym rytmem utrzymuje spoistość kolumny, wiąże ściślejszym węzłem wzajemnej przyjaźni i koleżeństwa cały oddział. Wytwarza solidarność zespołową, która jest ważnym czynnikiem na wielu odcinkach żołnierskiego życia i czynu. Dowódca doceniający znaczenie pieśni żołnierskiej, łatwiej trafia do serca żołnierskiego. Łatwiej rozumie jego nastroje i staje się bliższym tych, z którymi jest związany na życie i śmierć w obliczu wroga.

W wyniku rozważania wzajemnych związków pieśni ludowej i żołnierskiej nasuwają się uwagi: zależność pieśni żołnierskiej od ludowej w dziedzinie muzycznej jest większa aniżeli w tekście. Zmiana tekstów pieśni żołnierskiej pociąga za sobą nieodzowną zmianę melodii, nie zacierając jednak śladów pochodzenia. W sposobie wypowiadania się muzycznego pieśń żołnierską cechuje wyraźniej zarysowany rytm. Zachodzi podobieństwo między pieśnią ludową a żołnierską z okresu pierwszej wojny światowej również w dziedzinie tematyki. Pieśń żołnierska nie kończy się z zawarciem pokoju. W czasie służby w garnizonie w okresie pokojowym rozbrzmiewa ona również, jak w ciężkich chwilach wojennych. Jest ona zbyt wielką więzią żołnierską, aby jej nie wykorzystać również i w służbie pokojowej.

**Józef Ekkert**



## GRAHAM GREENE

(Dokończenie ze str. 2)

nym, a co innego pokazać na ekranie.

Wszechstronność i nowoczesność Grahama Greene'a jest najradośniejszym ustaleniem wynikającym z analizy jego twórczości. Fakt, że w czasach przełomowych i pełnych zamieszania pojawił się artysta, który językiem zrozumiałym dla wszystkich potrafi mówić o wartościach wiecznych i nieprzemijających, jest zjawiskiem niezmiernie krzepiącym.

**Wit Tarnawski**

# EPIFANIA I MĘDRCY

(Dokończenie ze str. 1-ej)

Na wspomnianych freskach katakumbowych Mędrcy występują w różnych liczbach: dwóch, trzech, czterech; na resztkach — około 70 starych płaskorzeźb rzymskich z tym tematem — jest ich zawsze trzech, natomiast na innych płaskorzeźbach włoskich, pochodzących z okresu późniejszego, z wieków V i VI, jest ich od dwóch do czternastu. Stara, chrześcijańska tradycja syryjska wymienia ich tylu, co apostołów, inne tradycje wschodnie podnoszą tę liczbę do kilkudziesięciu.

Być może, że liczba Trzech Mędrców ustaliła się pod wpływem ilości trzech darów, które ofiarowali Dzieciątku: złoto, kadzidło i mirra, a z których złoto tak bardzo, zapewne, przydało się św. Rodzinie, gdy wkrótce musiała przed prześladowaniem emigrowac do Egiptu.

Nazwa Ewangelisty dla tych tak tajemniczych ludzi: magowie, zwłaszcza w świetle niedawnych odkryć, może nas naprowadzić na bliższy domysł, a może nawet ślad, wiodący do ich ojczyzny. Często, pod wpływem proroctw zresztą, wymienia się Arabię jako ziemię ich pochodzenia. Tymczasem autor znakomitego, może najlepszego dzieła o życiu Chrystusa, Giuseppe Ricciotti (Vita di Gesù Cristo, 809 stron, włoskie wydanie 8 z 1944 r.) jest skłonny przypuszczać, że Mędrcy pochodzili z Persji . Staroperskie słowo m a g a oznacza „dar" a tak nazywany był system Zarathushtry. Magowie więc, to „uczestnicy daru", czyli uczniowie i wyznawcy nauki mistrza irańskiego. Teologiczny system magów głosił dualizm, jednak nie pesymistyczny, walkę między bogiem światła i dobra Ahura-Mazdah i bogiem ciemności i zła Anra-Mainyu. Dzieje świata mają się zawrzeć w dwunastu tysiącach lat, w czterech okresach po trzy tysiące lat każdy. Dwa pierwsze cechuje spokój i równowaga. Trzeci jest czasem kosmicznej walki między obu siłami, a w czwartej epoce pojawia się Zarathushtra ze swą nauką, wieszczącą Ahura-Mazdah. Według nauki magów Zarathushtra jest rodzajem „zbawcy", s a u s h y a n t lecz po nim przyjdzie jeszcze dwu „saushyant", z jego pokolenia. Trzeci i ostatni zostanie zrodzony przez dziewicę „w taki sposób, że nie dotknie jej żaden mężczyzna". Po trzecim saushyant, zbawcy, nastąpi zmartwychwstanie zmarłych, sąd ostateczny i wieczyste królestwo boga dobra i światłości Ahura-Mazdah.

System „trzeciego zbawcy" niewątpliwie powstał pod wpływem mesjańskich proroctw hebrajskich, wieszczących przyjście króla-Mesjasza. Znajomość tradycyj i pism hebrajskich bowiem istniała w Persji conajmniej od czasów Cyrusa (um. 529 przed Chr.). Magowie, spadkobiercy i kontynuatorzy Zarathushtry byli więc umysłowo i moralnie przygotowani na przyjście zbawcy, narodzonego z dziewicy i nie tylko sami go oczekiwali, ale wiedzieli z pism irańskich, że oczekują go również Żydzi.

Wiodła ich gwiazda. Bóg, który powiedział o Sobie: Jam jest światłość świata, prowadził ich tajemniczym blaskiem gwiazdy betlejemskiej. I daremnie silą się niektórzy, wierzący nawet, począwszy od XVI wieku, tłumaczyć pochodzenie światła „naturalnie", jako okresowej komety naprzykład. Taka naturalność jest o wiele bardziej nienaturalna, niż prosty cud, bo Ewangelista nie zostawia miejsca na złudzenia. Kontekst każe nam wierzyć niedwuznacznie, że to był cud.

Przybyli do Jerozolimy, mówiąc: Gdzie jest, który się narodził, król żydowski? Albowiem widzieliśmy gwiazdę jego na wschodzie i przyjechaliśmy pokłonić się Jemu. A usłyszawszy to Herod zatrwożył się i cała Jerozolima z nim...
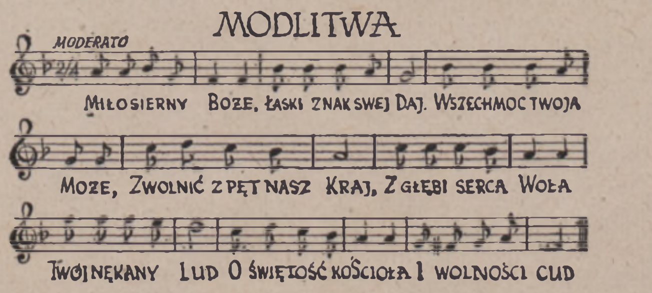
„Szli magowie widząc gwiazdę, która ich poprzedza i za nią postępując: Światła przez światło szukając, Boga wyznają darami". — Tak śpiewa Kościół w hymnie II nieszporów tego święta.

„Światła przez światło szukając": „Lumen requirunt lumine"...

A szukają go nie tylko poprzez światło gwiazdy, ale i przez naturalne światło rozumu, wzmożone poruszeniami łaski. Mędrcy, jak potem tylu konwertytów, są nam przykładem wierności i konsekwencji wobec rozumowych wniosków, wewnętrznego przekonania.

Pasterzy uważał szanujący się i szanowany świat żydowski — doktorzy zakonni, faryzeusze, kapłani — za ostatnich wyrzutków; w sądzie świadectwo ich, na równi ze świadectwem złoczyńców, było nieważne. Jeżeli więc z pojawieniem się tych ludzi u Nowonarodzonego uświęcona została prostota, a z boską ironią wykpiony świat pozorów, zgodnej ludzi opinii czcigodnych, przesądów społecznych, snobizmu: w akcie Mędrców wolno nam widzieć wierny swoim prawom geniusz umysłu w służbie Wielkiego Króla. Świętość umysłu, świętość inteligencji ludzkiej. I dlatego może Kościół przypomina nam w tym okresie słowa Izajasza: „Przyjdą do Ciebie ci, którzy Ci bluźnią, a uwielbią ślad kroków Twoich"...

**Jan Tokarski**




*Słowa i melodia: Józef EKKERT*

## Modlitwa

Łzy i skargi płyną
Z ziemi mogił, łez.
Arką tyś jedyną,
Naznacz cierpień kres!

Niech wolnością świeci
Jutro naszych dni!
Proszą Twoje dzieci:
Skróć ich męki, łzy.

JERZY DOŁĘGA KOWALEWSKI

# PAN PUŁKOWNIK

*(Z ARCHIWUM PAMIĘCI)*

Tego z moich dziadów, stryjecznego, Ludomira nie znałem osobiście. Umarł dwadzieścia blisko lat przedtem, nim ja zdążyłem przyjść na świat. Co wiem o nim, pochodzi od jego brata a mego rodzonego dziada Władysława.

Stary pan nie był zbyt elokwentny. Skądże by zresztą w owe czasy dorośli chcieli wdawać się w dłuższe rozmowy z byle pędrakiem? Toteż opowiadania jego nosiły charakter urywkowy, były czymś w rodzaju rozmów z samym sobą.

Pragnąłbym zachować ten styl, trochę z pietyzmu rodzinnego a trochę i dlatego, że mi się podobał. Może i mają rację Anglicy, że „nie należy nigdy niczego wyjaśniać".

„Casus Ludomir", jeśli zasługuje na uwagę postronnego czytelnika, to przez podobieństwo losów, zbiorowych i osobistych. Schowany na dno mojej pamięci, odżył w świetle spraw dziejących się obecnie. Sztuka jest grana dalej, choć w innych dekoracjach. Ale oddajmy głos panu Władysławowi.

* * *

Tak. Z białej owcy nie zrobisz czarnej. Chyba przemalujesz. Ale kiedy się poskrobie, farba puści.

Ludka wywieźli od nas z Podelsnej jakoś w parę lat po Listopadowym. Miał wówczas na dziesiąty a ja — o rok mniej.

Pamiętam jak przyjechali do nas. Zadzwoniliły po pokojach ostrogi. Ten starszy oficer zamknął się z moim ojcem w gabinecie, a gdy wyszli ojciec był blady, bardzo blady. Zapakowali Ludka do kibitki. Wybiegła na zamrcz matka, przeżegnała. I tyleśmy go widzieli.

Przychodziły, a jakże, listy od niego. Ze stemplem „Pierwyj Sankt - Pietierburgskij Kadietskij Korpus". Z początku częste, potem co raz i co raz rzadsze. Gdy go spotkałem już jako oficera, przyznał mi się do swoich dziecinnych snów. Śniło mu się, że jest w domu, w ogrodzie na śliwkach, a tu matka woła: Luudek... Luudek... Budził się i płakał w poduszkę.

Wyrósł z tego. W Czterdziestym Dziewiątym pod Szegeszwarem dowodził Ludek kompanią paskiewiczowskich jegrów. Nie rozumiesz? Węgrzy zrobili powstanie. Nie chcieli być pod Austryjakiem. A car Mikołaj posłał swe wojska, a w ich liczbie i Ludka, przywrócić na Węgrzech porządek.

Wali z armat nasz polski Bem i lecą do ataku śliczne węgierskie huzary. Na przeciw nich biegnie z okrzykiem „wpieriod riebiata" młody oficerek. Muśnięty pędem powietrza od granatu, bez czapki, wskazuje ostrzem szabli swym jegrom kierunek.

Nie umiemy bić się byle jak. Nawet wtedy, gdy jesteśmy w paskudnym towarzystwie. Wylizawszy się z rany, dostał Ludek na rewii w Budapeszcie krzyż z rąk samego feldmarszałka.

Widziałem go potem raz czy dwa, aby znów na długo się rozstać. Rodzice umarli, ja byłem zajęty swoimi sprawami. Innymi sprawami. Koło Styczniowego wiedziałem tyle, że jest gdzieś w Rosji pułkownikiem.

W Sześćdziesiątym Trzecim moja Pieszczanka znalazła się w samym kotle. We dworze opatrywano rannych a następnie, gdy już rady dać nie można było i ludzie, jak borsuki w norach, zasiedli w lasach, dostarczało się im żywność i amunicję. Zachodzili po nocach, a i tamci, ruscy, sobie nie żałowali: a to po furaż, to na przeszpiegi, na badania. Było widać, że z powstaniem źle. Obręcz się zaciskała.

W lecie tego roku dostałem list z Rosji od Ludomira. Pisał, że wie, iż u nas jest niespokojnie, ale ma nadzieję, że wszystko się ułoży. I że wybiera się do Pieszczanki na urlop.

No cóż? Gość w dom — Bóg w dom. Tylko, pomyślałem sobie, czas nie bardzo sposobny i ja wolałbym pana pułkownika widzieć tu kiedy indziej.

Przybył wyrozumiały i serdeczny. Wyraził mi nawet coś w rodzaju współczucia, a i ze starym Ambrożym objęli się po rodzinnemu.

Nie wiele rozumiał się na gospodarce i interesował się nią nie za bardzo. Czas nam schodził na wspomnieniach i pasjansach. A tu — coraz gorzej. Progi zapchane sołdatami, po dworach szperają szpicle. Jednego takiego sam pułkownik złapał na konszachtach ze służbą, kazał wziąć za kark i przegnać.

Moje stosunki z „lasem" nie ustawały. Baba, kto ją wie co za baba, może pani, chłop-żebrak, wyrostek, kursowali ciągle między nami a nimi. Gdzieś niedaleko był zaszyty ze swoją partią Sierakowski, niedawno jeszcze ruski pułkownik sztabowy. Tropili go szczególnie, on im się wciąż wymykał a gdy dopadł, pardonu nie dawał.

Pewnego wieczoru przyszło dwóch stamtąd na noc. Podano kolację a ja poszedłem do Ludomira. Odpowiedział zimno, że mu nie wypada zasiąść przy jednym stole z tymi panami. Jadł u siebie.

Pod północ jeden z nich, wysoki i barczysty, wyraził życzenie zobaczyć się z pułkownikiem. Zapukawszy, szepnął mu, już obleczonemu w mundur, swe nazwisko i wszedł, starannie przymknąwszy za sobą drzwi.

O czym mówili, nie wiem. Nad ranem wyszli na ganek, cywil i pułkownik, wychowankowie tej samej armii, jednakowo sztywni i spokojni. Zamienili ukłon, po czym jeden z nich zniknął w ścieżce parkowej a drugi wrócił do swego pokoju.

Nie powiedział mi Ludomir, czy wskutek tej rozmowy, czy dla czego innego wysłał ów pakiet do Petersburga. Faktem jest, że po kilku tygodniach otrzymał „najmiłościwsze" zwolnienie ze służby wojskowej.

W przystępie dobrego humoru a może przez wzgląd na dawne zasługi pozwolił mu car nadal nosić mundur.

* * *

Pogadywali, że ja wspomagam Sierakowskiego. Gdy wspomniałem o tym Ludomirowi, dodawszy, że znam okolice spokojniejsze niż pieszczańska, które on mógłby po sąsiedzku odwiedzić, zakiwał przecząco głową i wyłożył na stół kartę z pasjansa. Zrozumiałem, że wybór jest dokonany i nie ma nad czym dyskutować.

* * *

Wiesz ty, co to są Dońcy? Takie kozackie wojsko. Kudłate łby, czerwone lampasy na portkach i kolczyk w uchu. W ucieczce — bardzo zwrotni, w ataku, na niedobitków, doskonali.

Był czas podwieczorkowy. Siedzę w ganku, Ambroży pokwapił się z malinami ze śmietaną. Posłałem go obudzić pułkownika. Ledwo zdążył odejść a tu jak spod ziemi sotnia kozaków pod gankiem.

Esauł, ich porucznik, zlazł z konia i z nahajką w ręku do mnie na ganku.

Rozmowy tej wersalską nikt by nie nazwał. Zresztą mówił on. Ja odpowiedziałem tylko, że jestem właśnie ten, o kogo chodzi.

Obiecywał mi różne, niekoniecznie przyjemne rzeczy. No i ta nahajka latała mu w ręku, tańczyła nad moją głową. Zastanawiałem się, co zrobię, jeśli mnie uderzy.

Nie uderzył. W chwili największej pasji znieruchomiał nagle i opuścił podniesioną już rękę. Idąc za jego oczami, obejrzałem się w głąb ganku. W drzwiach prowadzących do pokoi stał pan pułkownik we własnej osobie. Pochylony na lewą, tę ranną pod Szegeszwarem, nogę, spoglądał na kozaka jako na coś nowego, objawionego mu dopiero, coś co wywołuje zainteresowanie, połączone z odrobiną znudzonego niesmaku. Tak może patrzył stary Bem na atakujących go w polu rosyjskich jegrów.

Upłynęła chwila, która mnie się wydała bardzo, bardzo długą. Zachodzące słońce złociło przez zieloność liści ganku buliony pułkownikowskich epoletów. Esauł patrzył w nie jak zaczarowany.

I nagle pułkownik ruszył ku kozakowi, nieśpiesznie, ociągliwie. Podszedłszy, wyjął mu niemal łagodnym ruchem nahajkę z ręki.

Jeszcze sekunda i — wali nią w kaprawą esaułską gębę, naodlew, nakrzyż, do zmęczenia. Siatka niebieskawych żyłek wystąpiła mu wraz z kroplami potu na skroniach. Chrapliwy, przerywany oddech akompaniował świstowi opadającego na twarz ludzką bata. Bił Ludek, mały oderwany od domu chłopczyna, bił żołnierz, zmuszony do walki po obcej stronie, bił Polak.

Było ich tylu. Mogli rzucić się na niego, obalić, związać, roznieść na szablach. Nie drgnął żaden. Respekt dla munduru, powszechny w mikołajowe czasy, czy strach przed człowiekiem w furii, kto ich wie.

Dość, że zdrowaśki by zmówić nie zdążył, jak sotnia z esaułem nawracała od pieszczańskiego ganku.

* * *

Tak. Wyrównywuje się porachunki, jak można i kiedy można. Mój brat trochę się tym spóźnił, ale lepiej późno, niż nigdy.

Aha, pytasz mnie, co był za to panu pułkownikowi. Nic, zupełnie nic. Jeszcze on się poskarżył, że musiał osobiście poskramiać „niesubordynację" kozacką.

A zresztą w Rosji „za jednego bitego dwóch niebitych dają".

**Jerzy Dołęga-Kowalewski**

STEFAN LEGEŻYŃSKI

# JEROZOLIMA - OŁTARZ KAMIENNY

To nie jest miasto, jak inne. Jest to od dwu tysięcy lat ołtarz chrześcijaństwa, a przedtem...

Jerozolima leży na szczycie skał, w pasmie Gór Judzkich. Jej dzielnice zachodnie spoglądają w stronę Morza Śródziemnego o 800 metrów poniżej, jej krańce wschodnie ku Morzu Martwemu o 1200 m niżej od niej. Jest miastem górskim i z trudem wspinają się ku niej drogi, którymi od tysięcy lat płynęły ludy i ideje.

Polakom do Jerozolimy dotrzeć było trudno. Był to kawał świata z naszych rubieży. W latach ostatniej wojny stało się to miasto Chrystusa „ziemią spod stopy żołnierza polskiego". Zakwitło naszą radością po opuszczeniu Rosji, stało się miejscem najwyższych lotów ducha, gdyśmy czołem uderzali przed Grobem Pańskim. Miasto święte naszych młodych lat i naszych wciąż żywych nadziei.

Historia Jerozolimy jest pełna krwi i męki, śmierci, ale i Zmartwychwstania. Pierwszą wzmiankę o Jerozolimie mamy sprzed 4000 lat. Wódz koczowników Hebrony, Abraham, powracający z wyprawy wojennej, zostaje powitany przez kapłana „Boga Najwyższego" Melchizedecha, na terenie dzisiejszego miasta. Następną wzmiankę znajdujemy w listach między królem jerozolimskim Abdi-Chiby a faraonem Echnatonem, w której Jerozolima prosi o pomoc przeciw napastnikom z plemienia Habiru. Historia mówi nam dalej o zamieszkującym miasto plemieniu Jebuzytów, które próbuje uczynić z miasta fortecę przez wyżłobienie kilkumetrowej fosy od północnej strony miasta. Biblia opowiada o tym, jak król Dawid zdobył miasto oraz zbudował pałac i koszary dla swych żołnierzy. Syn jego Salomon zmienił oblicze miasta, rozbudował je oraz postawił świątynię, która przez setki lat nosiła jego imię. W naszych czasach, na tym miejscu, wznosi się meczet Omara.

Świątynia, choć nie wielkich rozmiarów, była pełna przepychu. Piękny był również pałac wybudowany obok świątyni, który zamieszkiwała żona Salomona, córka faraona. Za następców Salomona wrogowie kilkakrotnie łupili miasto i świątynię. Ażeby temu zapobiec, umacniano mury i budowano wieżyce, jak to uczynił król Ozjasz i jego następca Jotham.

Rok 586 przed Chr. przyniósł zagładę miastu. Po dwuletnim oblężeniu przez wojska Nabuchodonozora Jerozolima została zdobyta, zrabowana i zrównana z ziemią. Ludność zaś zabrano w niewolę do Babilonu.

Toczy się koło historii. Z kolei król perski Cyrus zdobywa Babilon i uwalnia niedawnych niewolników, którzy partiami wracają, odbudowując swe miasto. W 37 r. przed Chr. Jerozolimę zdobył Herod. Miasto pod jego rządami rozbudowało się, unowocześniło, otoczyło wyższymi murami. Herod rozbudował miejską fortecę, zbudował nowy ufortyfikowany pałac (niedaleko dzisiejszej bramy Jaffskiej), teatr, wreszcie odbudował świątynię, którą ozdobił złotym dachem. Ostateczne jej ukończenie przypada na rok 64 przed Chr. Zburzył ją Tytus w 6 lat później.

W mieście Heroda żyje Chrystus. Jest to miasto piękne, niedługo mu jednak przetrwać. Zburzył je Tytus a ludność wybił lub uprowadził w niewolę. Odtąd w mieście wolno mieszkać tylko Rzymianom. Nosi ono nazwę „Aelia Capitolina".

Wiara szerzy się coraz bardziej. Ażeby temu zapobiec, Rzymianie zasypali Golgotę i zbudowali na jej miejscu świątynię Jowisza. Przyjęcie chrztu przez cesarza rzymskiego Konstantyna staje się początkiem powstania licznych kościołów w Jerozolimie. W r. 335 cesarzowa Helena wznosi Bazylikę Grobu Świętego. W r. 614 król perski Chozroes pali ją. W r. 636 zostaje odbudowana a w r. 1010 kalif Egiptu, El-Hakim, niszczy ją ponownie. Bazylika zostaje odbudowana przez chrześcijan a Krzyżowcy nadają jej styl romański.

W r. 1187 miasto zdobywa Saladyn i odtąd, aż do pierwszej wojny światowej, pozostaje ono w rękach mahometan.

Losy miasta ważą się także dzisiaj. Interesuje nas żywo los zabytków chrześcijaństwa i cieszy głęboko projekt przebudowy bazyliki Grobu Chrystusowego, ogłogłoszony przez Watykan w Roku Świętym.

Jerozolima, to kamienny ołtarz na szczycie gór. A słońce nad nim jak monstrancja.

**Stefan Legeżyński**